

KRÓL CHŁOPÓW.

100

#53
J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XIV.

KRÓL CHŁOPÓW.

CZASY KAŻMIRZA WIELKIEGO.

T O M I.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

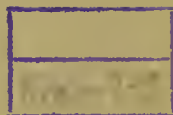
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1881.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

1897 D 20

PANU

WŁADYSŁAWOWI CHODŹKIEWICZOWI

w Paryżu.

KOCHANY WŁADYSŁAWIE! Pierwszą z szeregu tych powieści historycznych przypisałem nieodżałowanemu Bronisławowi Zaleskiemu — tę przesyłam Tobie, jako dowód przyjaźni szczerój, szacunku i wdzięczności za wiele oznak życzliwości. Przyjm tę maluczką ofiarę takim sercem, jak ja przesyłam, a bądź w ogóle dla całego szeregu tych opowiadań pobłażającym. Trudność zadania, o które się pokusiłem, zuchwalstwo, z jakim je podjąłem, nie potrzebuje wyjaśnienia. Biję w oczy ogrom i wszystko, co było i jest do zwalczenia, aby podolać temu obrazowi dziejów, wcielonych w główne postacie historyczne.

VI

Nie łudziłem się też nigdy, bym w zupełności wymaganiom nader rozlicznym mógł odpowiedzieć. Czyniłem i czynię na co mnie staje, sądząc, że mi w rachunek i to zaliczonem będzie, że potrzeba było rodzaju ofiary i wyrzeczenia się, by taki ciężar dobrowolnie wziąć na ramiona, pod którego brzemieniem upaść się musi.

Dla jednych jest tu za wiele, dla drugich za mało, dla nikogo prawie to, czego chciał i jak mieć życzył. Z rezygnacją przyjmuję najsprzeczniesze sądy, w duszy będąc przekonanym, że szereg tych powieści, jakiegokolwiek one są, wiele rysów zatartych odświeży, wiele nowych uwypaktni, wiele postaci godnych pamięci przypomni. Sama polemika, choćby najdziwaczniejsza — bo i z taką mi się spotkać zdarzało, która dowodziła, że krytyk nie przeczytał z uwagą tego o czem sądził — ma swe dla ogółu pożytki. Na wszystko odpowiadam: uczynicie więcej a nadewszystko lepiej — cieszyć się będę.

Zarzutów. jakie mi czyniono, ⁴począwszy od drobnostkowych szczegółów, które do mnie nie należały — aż do tendencji, pospiechu i t. p. odpierać nie będę. Co do pospiechu dodam tylko, że często po trzy razy przepisuję, a zawsze cztery

VII

razy odczytuję. Jest zresztą w słabości natury mojej, w jej właściwości, to, że zwykle opracowywanie, dla innych pożyteczne — u mnie daremnem się staje lub nawet szkodliwem. Są tacy nieszczęśliwi, do których ja należę, którym nie dano jest nic przerobić — bez zepsucia. Nieubлагana jakaś, choć może fałszywa logika, zmusza co się narodziło ulomnem, orthopedycznym doświadczeniom nie poddawać, aby większego nie ściągnąć nań kalectwa.

Wszystkie, prawie bez wyjątku krytyki, które mi do rąk wpadły, z nadzwyczajnem staraniem wszelkie możliwe usterki podnosiły; nie zdarzyło mi się ani jednej czytać, któraby jakąś stronę lepszą podniosła.

Takie jest u nas pojęcie krytyki w ogóle i zadania krytyka. Każdy z tych sędziów chce tem swą wyższość nad autorem pod skalpel wziętym okazać, że wszystkie plamy i plamki dostrzega nadzwyczaj bystro. Idzie mu o siebie nie o rzecz, którą rozbiera. Jest to tak dotykalnie widoczném, że często uśmiech wywołuje... Słabość to ludzka.

Ale najgorsza nawet krytyka ma swą dobrą stronę...

Chwalić się samemu niepodobna, *propria laus*

VIII

sordet, mówiono nam w szkołach, bronić się nawet nie przystało. Niech więc wolno będzie przypomnieć, że opowiadania te historyczne, wymagają wielkiej pracy przygotowawczej, która niepostrzeżoną dla czytelnika pozostaje i wsiąka w utwór fantazją ubarwiony. Autor starał się i stara szczegóły dobyć z pyłu i zapomnienia, gdy są charakterystyczne, wysnuwa z nich wniośki, i do przesady może posuwa sumienność w czerpaniu ich u źródła. Jak trudno przy tem, z często nader niedostatecznych napomknień, z tych okruszków i obłamków odtwarzać żywe postacie — nie potrzeba mówić o tem.

Za długo się może, za obszernie o tem rozpisuję, chociaż przedmiot wcale wyczerpany nie jest. Chciałem się po prostu w tym otwartym liście do Ciebie poskarżyć. Skarga to, próżna może, którą mi Ty i czytelnicy przebaczą, próżna, bo co żyć warto i ma w sobie życie — to mimo krytyki, nie zginie, a co ma w sobie zaród śmierci i brak warunków żywotnych, umierać musi. Na to żadne środki kunsztowne, ani przyjacielskie pochwały nie pomogą. Zatem — bądź co bądź, człowiek czynić powinien co może,

IX

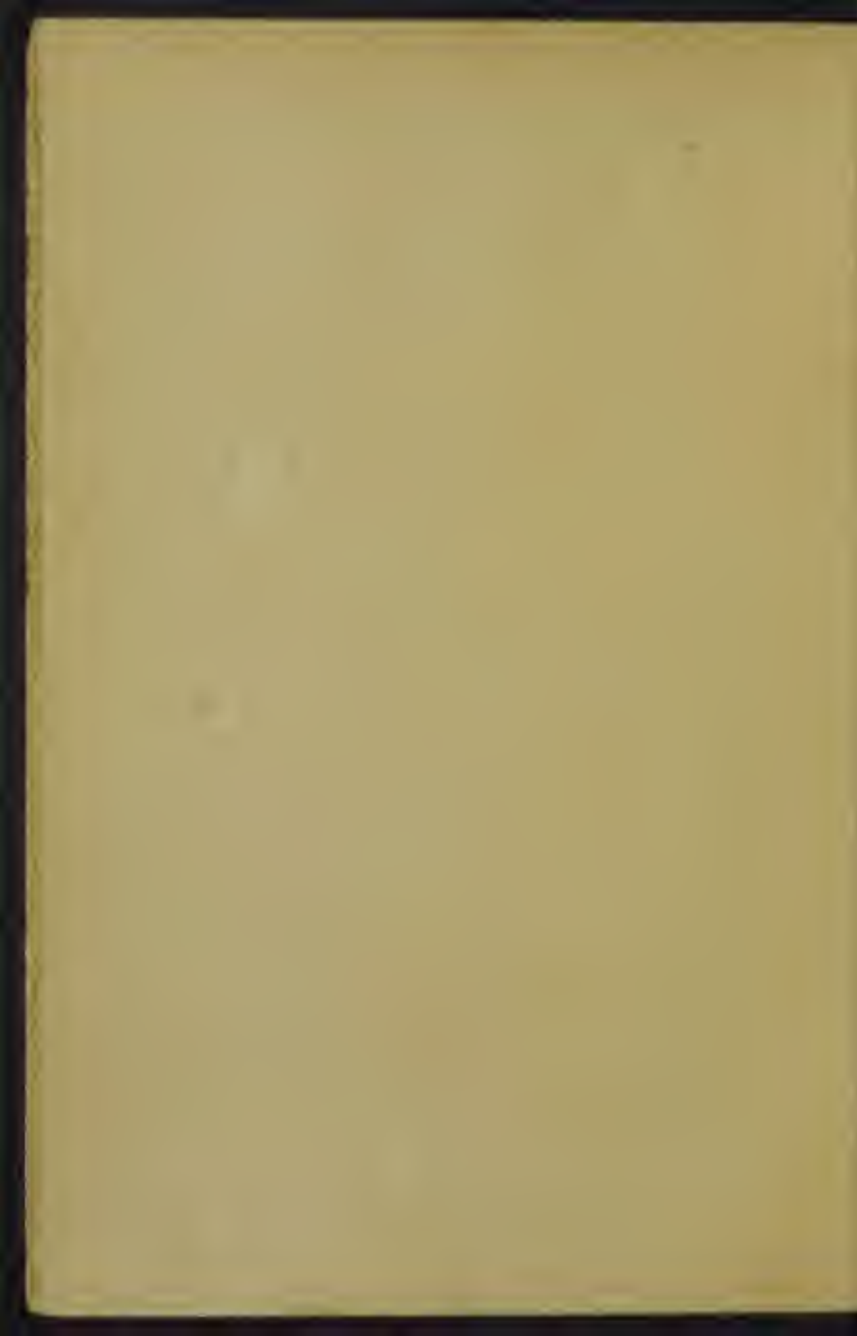
a sprawiedliwość dokona, do czego jest obowiązana.

Proszę Cię o współczucie, a z Tobą razem wszystkich Czytelników moich.

Przyjaciół i sługa wierny

J. J. Kraszewski.

Hyères, d. 6 Kwietnia 1881.



PROLOG.

W wielkiej sklepionej sali krakowskiego zamku, na dole, mrok się już wieczorny rozpościerał. Wąskie okna jej, głęboko w mur wpuszczone, w większej części były gęstemi przysłonięte oponami, przez drugie mało się już gasnącej światłości wkradło. Włoska lampka oliwna zapalona stała w kącie, ale słaby jej ogień ledwie małą przestrzeń ruchawym rozjaśniał promykiem. Cisza głęboka panowała w obszernej izbie; w przedsielniach, na podwórzach ledwie się co poruszało.

W kościele Ś. Wacława na zamku cicho dzwoniło żałobnie na wieczorną modlitwę.

W jednym sali rogu na szerokim łożu skórami i suknami okrytem, widać było z ciemnego tła jedwabnych przykryć, na których spoczywała, twarz wybladłą, z oczyma zamkniętymi, jakby uspionego człowieka lat podeszłych.

Z jednej strony łoża stał w czerni, w sukni duchownych, mężczyzna stary, wpatrzony w leżącego, z brwiami ściągniętymi, z drugiej, na wielkiem siedzeniu, w pół kłęczący, pochylony troskliwie, niespokojne oczy wlepiając w chorego, młodzieniec w kwiecie wieku, silny, piękny, rysów szlachetnych, pańskiego oblicza. Ręce trzymał załamane na kolanach.

Opodał nieco niewiasta w długiej sukni szarej, obcisłej, z zasłoną na głowie, z różańcem w rękę, modliła się, żywo paciorki jego przebierając palcami wychudłemi.

W nogach łoża z rękami do modlitwy złożonemi, cicho coś szepcząc, oczy wzniosłszy ku niebu, stał mnich w sukni białej, w płaszczu czarnym.

Na łożu tem wyczekiwał śmierci i wyzwolenia król, co przeszło pół wieku walczył dla połączenia w jedno, rozszarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego — Władysław zwany Łoktkiem, mąż wielki małego ciała, a potężnej ducha siły.

Czuł on sam, widzieli wszyscy przybliżającą się ostatnią godzinę.

Nie choroba, nie rany zwyciężyły go i obaliły; długi trud, niezmierne troski wyczerpały sił ostatek. Gasnął powoli, bo życia ogień wypalił się w nim do dna.

Umierał z tą mocą duszy z jaką żył, mężny

i spokojny; nie broniąc się śmierci, pożądam jej, zstępując do grobu z pociechą w sercu.

Nie dokonał wszystkiego, co zamierzał, ale niewiele brakło do spełnienia myśli jego, zrodzonej w dzieciństwie, wykołysanej życiem, dojrzalej w bojach...

Myśl swą spuścizną zostawiał synowi.

Mnich, stojący w nogach łoża, pobożny dominikanin Heljasz już był przejednał króla z Bogiem. Władysław dnia tego wolę swą objawił mężom dostojnym, ojczycom królestwa swego i pożegnał wszystkich; rozstał się z żoną, pobłogosławił syna, któremu Polskę oddawał, ziemią zleciwszy jedyne dziecko.

Lekarz kanonik Wacław przepowiadał zgon blizki; królowa Jadwiga płacząc powtarzała modlitwy za konających, lecz śmierć nie przychodziła jeszcze...

Wojownik stary bronił się jej resztą potęgi, w bojach mnogich nabytej.

Król się tylko usypiać zdawał. Oddech jego stawał się to przyspieszonym gorączkowo, to słabnącym tak, że go ledwie czuć było. Zapadłe powieki podnosiły się nagle, głowa poruszała, zaschłe usta otwierały, zbladłe oczy biegały po otaczających, i Łoktek chwilowo powracał do życia.

Duch starego wojownika jak przykuty do tego starganego wiekiem ciała, nie mógł się z niego wyzwolić.

Nadchodziła noc, po której wracający dzień już, wedle przepowiedni lekarza, króla nie miał zastać między żywymi.

Medyk patrzył zdumiony i upokorzony, bo na tem łożu śmierci działał się cud — walka się odbywała nieprzewidywana, niewidoma, nieznana mu — życie opierało się zniszczeniu.

Łoktek powracał doń snem pokrzepiony.

Oblicze jego przybrało już dawno tę barwę trupią, bezkrwistą, wyżółkłą, która nadchodzącego zgonu czytać na niem nie dozwalała; lecz piersi się poruszały, oddech był widoczny. Zeschłe płuca odzywały się nim jeszcze głucho i smutnie.. powietrze w nich chrzęszczało.

Stojący nad chorym kanonik lekarz, dał z lekka znak, aby mu spoczynku nie przerywano i sam począł na palcach odchodzić. Cofnął się też, ujrawszy to, mnich Heljasz i królowa po cichu, powolnie ku drzwiom zwróciła.

Król usypiał.

Wszyscy, po dniu tym wzruszeń pełnym, zapragnęli usunąć się do bocznej komnaty i tam czekać przebudzenia, gdyż jeszcze się go spodziewano.

Jeden syn pochylony przy ojcu pozostał nieruchomy.

Na dany przez matkę znak, potrząsnął głową, wskazał na ojcowskie łóżę, dając łatwo zrozumieć, że chciał czuwać przy nim.

Niedawno jeszcze z ust jego słyszał ostatnie wyrazy błogosławieństwa i przestrogi — niedawno brzmiały tu głosy zwołanych panów rady — królewicz-następca wzruszony był. Do łoża konającego wiązała go miłość, wdzięczność i ta troska o jntro, która brzemieniem całej, nieznanej przyszłości leżała na piersiach jego.

Łzy kręciły mu się w oczach...

Złotą była korona, którą miał włożyć na młodocianą skroń ale ciężką.

Zwolna wysunęli się wszyscy ku drzwiom bocznym, których zasłonę królowa podnieść kazała, aby być na najmniejszy szelest, na zawołanie powrócić gotową.

Nieruchomy w tej półkłęzącej postawie królewicz, został jak przykuty do siedzenia i łoża. Wzrok jego na twarzy bladej ojca spoczywał.

Oblicze to było żółtkłe jak karta pargamina i jak ona życiem zapisana długiem. Nigdy może wprzód, gdy był w pełni sił, nie stały na niej wyryte dobitniej męztwo, rezygnacja, siła, spokój i żelazna wola. Teraz tylko wszystkie te charakteru znamiona oblewała światłością przedśmiertną jakaś błogość — pogoda dnia ostatniego.

Któż nie widział na obliczu umierających, mocnych na duchu, bojowników zwyczajkich, tego wyrazu szczęśliwości, jaki wdziewa śmierć wiodąc ich do grobu?

Wszystkie cierpień ziemskich ślady zagładza palec anioła śmierci.

Z za brózd, marszczek i fałdów promieniało oblicze stare króla wypięknione i jasne.

Syn patrzył na nie z pobożnem zdumieniem, bo nigdy go takim nie widział.

Jeszcze przed chwilą, gdy król z gorącością przemawiał do panów rady, do syna; miał starą swą twarz, jaką nosił po pobojowiskach; teraz śmierć przyoblekła ją majestatem i powagą swoją. Królewicz zadrżał — było to dlań zwiastunem chwili ostatniej.

Lecz — król żył: piersi poruszały się prawie łagodnie, dostrzegał lekkie twarzy drganie — starzec jeszcze oddychał.

Płomyk lampki, który, podniósłszy się, żywym rzucił blaskiem na rysy króla, dozwalał rozeznąć lekkie ust ściągnięcie i na powiekach wysilek i drganie. Dźwignęły się one z ciężkością; z głębin ich blado zaświeciły oczy.

Zatrzymały się długo na synu, wargi zatrzęsły się, jakby je przewiew uśmiechu przebiegł bezsilny.

Każmirz jeszcze bardziej pochylił się do ojca.

Cud tego życia, przerywającego konanie, co raz był widoczniejszym, głowa zwróciła się o swej sile ku ukochanemu dziecięciu.

Oddech piersi stał się głośniejszym, i głucho dobył się z nich głos.

— Kaźmirz?

— Jam jest! — odparł syn cicho.

— Jak za mgłą cię widzę — szepnął król wyraźniej nieco.

— Wody! Usta spieczone! — dodał, chcąc dobyć napróżno osłabłą z pod przykrycia rękę.

W tem Kaźmirz pośpieszył z kubkiem rzeźwiącego napoju, stojącym tuż przy łożu i ostrożnie nachylił go do ust ojca, wlewając w nie płyn po kropli.

Usta się rozwarły nieco, trochę życia wstąpiło w twarz, której oczy nabrały blasku.

Uśmiechnął się Łoktek.

— Noc? — zapytał cicho.

— Wieczór późny.

Król oczyma potoczył po komnacie, jakby się chciał przekonać, czy byli sami.

Chwilę trwało milczenie, piersi pracowała, aby się na głos zdobyć ostatni.

— Koronę — rzekł silniej. — Koronę niech ci niezwlekając włożą, niech namaszczą. Bóg z nią daje moc. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni. Polskę całą, Kujawy, Mazowsze, Pomorze... Pomorza Niemcom nie ustąpić nigdy! Tamtędy droga w świat, jedyna wolna, w koło wrogi, bez niego więzienie...

Mówił, odpoczywając chwilami, Kaźmirz słuchał pochylony. Nie była to rzecz do niego zwrócona, lecz jakby mimowolne snujących się myśli

wyrazy, wpół do siebie, do Boga, do niego... Coś, jak marzenie, jak modlitwa...

— Mazowsze posłuszne, lenne być musi i twoje, pod prawem jednym — ciągnął dalej — Szlązko zgniłe, zaniemczone przepadło... przepadło!... Już mu nie odżyć, rdza niemiecka je zjadła...

Mówiąc to przymknął powieki, ale natychmiast podniosły się znowu i usta dalej szeptały, dla syna tylko dosłyszonym szmerem.

— Z siostrą, z Węgry musi być wieczne przywierze, za ręce trzymajcie się oboje...

Pod Rzymem stać wiernie, pod Awinionem, bo tam głowa nasza i siła. Papież mnie ratował, rozgrzeszył, dźwignął, wiele lat temu... Królestwo nasze pod Piotrową stolicą, hołd mu winniśny...

Zamruczał coś niewyraźnie i poruszył się niespokojnie.

— Znajdziesz ludzi dobrej rady, Jaśko z Melsztyna mąż prawy, Trepka wierny... Ziemianie, szczyty, rycerstwo dobre, dobre, ale nie oni jedni... Jest ubogi lud, jest biedny chłop... to ojczyce także uasi. Pamiętaj! Ja pomnę, gdym, z błogosławieństwem miłościwego lata powrócił z tułactwa sam, sam jeden, jak palec, nie miałem wówczas nikogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa szli ze mną chłopki z siekierami Polskę

budować. Szli i bili się... a dopiero po nich przyszły szczyty, a na końcu barony i comites...

Chłopkom wdzięcznym być!

Spojrzał na syna.

— O chłopkach pamiętaj!

Każmirz skłonił głowę.

— Tarczą im bądź i opieką — szeptał król cicho — sędzią im bądź sprawiedliwym, obrońcą, oni mnie obronili...

W tem głos coraz cichszy i słabszy szeptem niezrozumiałym utonął w piersi, i była znowu chwila milczenia.

Z bocznej izby na palcach podszedł ks. Wacław, nadsluchując ostrożnie. Stanął zdziwiony, pochwyciwszy szeptanie, ręką sięgnął po kubek i przyłożył go do ust króla. Chory wnet poczuł obcego, zamilkł, ściągnąwszy wargi, ale napój połknął chciwie.

Ks. Wacław zatrzymał się chwilę, zrozumiał to, że ojciec chciał sam na sam z synem pozostać, i usnął się powoli.

Wpół podniesione powieki śledziły ruch jego i nie otwarły się, aż zniknął.

— Z Krzyżowcami niemieckimi — rzekł — nigdy pokoju... Przeciwno nim przymierze i pokój choć z pogany! (mówił niezrozumiale, głos drżał). O! nigdy zgody z niemi! Kruki czarne, wilki żarłoczne, wrogi wieknieste...

Z Pomorza ich wygnać potrzeba precz, lub

oni tę koronę prędej, później żelaznym klinem rozsada. O! z nimi nigdy pokoju...

Z pogany się jednać lepiej, Litwie żoninej dać rękę, Ruś zagarnąć... Węgry zsojuzzone, nasze, Czech się grzywnami przejedna, daj mu ostatnią koszulę... choćby kielichy ze skarbców kościelnych, byle zjednać przeciw krzyżakom, wszystkich przeciw nim... Brandeburezyków głaskać, Szlązaków zagodzić... a Pomorze odbić, bo technąć nie będzie czem... Gościniec w świat nam zaprą i uduszą.

Spoczął nieco i dodał.

— Krwi się tam dużo poleje... będzie strumieniami ciekła... jak pod Płowcami...

Marszczki na czole króla wygładziły się, pogoda zwycięstwa opromieniła je na chwilę.

— Płowce! — powtórzył — Płowce! Drugie Płowce przyjdą nieprędko, ale ja widzę je, widzę. Stosy chorągwi ich po ziemi się tarzają i trupów stosy w posoce...

Każmirz klęczący już przy łożu, aby mógł słyszeć lepiej, przychylił się tuż ku ustom ojcowskiemu.

Od przepowiedni tej serce mu zadrgało żywiej. Łoktek smutnie się uśmiechał.

— Nie ty ich poskromisz... — dodał — nie, tobie nie dano! Ty gdzieindziej musisz szukać zwycięstwa.

— Ojciec mój — ozwał się Kaźmirz, gdy stary

zamiłkł nieco — ojciec mój, ja nie mam miecza twojego, ani dłoni twej...

— Da ci je Bóg, gdy będzie potrzeba — przemówił król — nie miecz wojuje, ani ludzka dłoń, ale wola i opieka Boża. Spełni się wszystko, jak on postanowił. Ty, ty kłieć i spajać musisz, co rozerwały wieki, żelazną wiązać obręczą... miłością ożenić, prawem zjednać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorąco i znużony nagle mówić poprzestał. Zdała ujrzał stojącą z głową zwieszoną królowę.

Wpatrzył się w jej postać smutną i wejrzeniem żegnali się długo.

Jadwiga stała chwilę, i milczeniem króla odprawiona, odeszła. On mowę odzyskiwał tylko dla syna.

— Bóg z tobą — rzekł — on dla mnie czynił cuda, on przezemnie słabego i małego stworzył znów królestwo, które do potęgi wielkiej urośnie...

Dziś ta stara szata królewska poszarpana na skrajach, zszywać ją trzeba, odbierać obcięte kawały, wojować, na straży stać i latać, aż płaszc z niej będzie pański... Bóg wielki tworzy z niczego i przez małych.

Po krótkim milczeniu szepnął cicho.

— Błogosławie!

Głos zamierać się zdawał, oczy się przymykały. W tem wpośród ciszy szelest dał się sły-

szeć, naprzód niewyraźny, stłumione mowy kilku ludzi, sprzeczkę jakąś u progów.

Łoktek oczy otworzył niespokojne, królewicz powstał. Niepojętem to było, by w ostatniej godzinie pokoju pana umierającego nie poszانونo.

Spór coraz dobitniej dawał się rozpoznać w pomieszanych głosach, na ostatek błagające, płaczliwe doleciały wyrazy.

— Puście mnie, puście mnie, jam najstarszy jego sługa.

Poruszył się Łoktek niespokojnie i oczy jego synowi znak dały, aby drzwi nie zamykano proszącemu.

Nim Kaźmirz miał czas spełnić rozkazanie ojcowskie, zwolna odchyliły się podwoje i w nich dziwna ukazała się postać.

Był to starzec zgarbiony z długą za pas, zrzędlą brodą siwą i czaszką wyłysiałą, na której lśniącej skórze mnogie szramy widać było... Odziany snknią tercyarską dzieci Franciszka świętego, zgrzybiały człek nie mógł już iść o swej sile... Dwóch chłopaków ubogo odzianych, na których ramionach się opierał, wiodło go pod ręce. Twarz z oczyma zakrwawionemi pomarszczona, biała, miała wyraz niepokoju i zarazem radości... Ręce trzymał złożone, jakby szedł do ołtarza.

— Król mój! pan mój! — wołał głosem drżą-

cym — puszczajcie mnie do niego... Niech pożegnam pana mego!

Z ust Łoktka wyrwało się:

— Jarosz... Jarosz... pójdz tu! do mnie stary.

Potoczył się powołany do łoża, cały drżąc z radości i dopadłszy do nóg króla, płacząc ścisnąć je począł.

— Król mój! pan mój! a mnie do ojca mego puszczać nie chcieli — wołał. — A myśmy razem dziećmi biegali, a jam z nim był i w bojach, i na tułactwie, i w Rzymie, i po jaskiniach, i na pobojuwiskach, i na noclegach, i w niewoli, i wszędzie...

Królowi oczy drżały i pod osłoną poruszał rękami, których dobyć nie miał siły.

— Ty idziesz — mówił płaczliwie Jarosz, klękawszy u łoża — weźmijże mnie z sobą, życie już cięży. Za grzechy pokutę sprawilem, oczy zagasły, ręce obezwładniały... Weźmij mnie z sobą, jakieś brał dawniej...

Z drugiej komnaty wybiegli wszyscy i ksiądz Wacław pierwszy chciał starego odciągnąć sługę, lecz król dał znak, Jarosz pozostał u nóg jego.

— Kiedy tobie, panie mój, Bóg zesłał wyzwolenia godzinę, może i mnie w miłosierdziu swem zabierzesz z sobą. Jabym się u stóp twych położył, jako legalem po lasach, gdyśmy sami byli, biedni, głodni, a ścigani.

Twarz królewska ożywiła się temi wspomnieniami, nie mówił, ale się na niej rysowało rozrzewnienie pogodne.

Jarosz ledwie odetchnawszy ciągnął dalej.

— Król mój, pan mój! a mnie do niego puchać nie chcieli. Jamże powinien tu być być w godzinę śmierci, bom w życiu wiernym był towarzyszem.

Łkanie mu przerywało.

— Nie zlekniemy się śmierci, widzieliśmy ją nieraz — mówił spokojniej. — Spocząc czas!

Kończył te słowa Jarosz, gdy król dobył głosu z piersi.

— Ojcie Heliaszu! — zawołał — Heliasz!

Mnich, który się spodziewał być powołanym, stał już blisko i przysunął się do łóża samego, krzyż podnosząc w rękę.

Każmirz usunął się nieco, Jarosz milczał i modlił się.

Wśród ciszy zabrzmiała uroczysta kapłana modlitwa. Była to ta ostatnia, którą żywi przeprowadzają duszę ku lepszym ulatującą światom.

Oddech umierającego stał się nagle żywszym i cięższym, w piersiach wyraźniej odzywało się chrząszczenie, pot występował na czoło. Śmierć, która się oddalać zdawała, wracała po swoją ofiarę.

Z drungiej strony łóża stojący kanonik Wa-

claw wejrzeniem i ruchami dawał poznać, iż stanowcza chwila nadeszła.

Głowa króla głębiej w pościel i niżej opadała na piersi. Wysiłek jakiś poruszał całem ciałem, które okrycia podnosiło i ścigało na przemiany.

Królowa klęczała przy mężu, tuż obok starego Jarosza.

Głos mnicha coraz wyraźniej, coraz mocniej podnosząc się, aby stępiełego już doszedł ucha, rozbrzmiewał po całej sali.

Oczekujący w sąsiednich komnatach, usłyszawszy go, zjawili się na progu gromadnie. Byli to ludzie poważni, w szatach ciemnych, smutnego a zadumanego oblicza. Oko ich na przemiany to szukało łoża, na którym spoczywał umierający, to pochylonej młodego królewicza głowy.

Niespokojni szeptali po cichu, Jarosz opadłszy ku ziemi, z głową na piersi zwieszoną, bezsilny zdawał się razem z królem swym dogorywać.

Kapłan w głos już, z zapalem odmawiał resztę modlitwy.

Poklękli wszyscy. Królowa twarz splakaną zanurzyła w pościeli i łkała z bólu.

Raz jeszcze podniosła się twarz starca, powieki odsłoniły oczy zbladłe, westchnął ciężko.

Westchnienie to odbiło się w piersi Jarosza, którego chłopcy utrzymać nie mogli, potoczył się na ziemię.

Lekki okrzyk stłumiony wyrwał się z ust królowej.

Zrana już na łożu w tej samej sali rozpostartem szeroko spoczywały Łoktka zwłoki, przyodziane do grobu, w hełmie na skroni z koroną, pasem objęte, z mieczem wiernym u boku, z berłem w dłoni, w spiczastem obówie ze złożonemi ostrogami, z twarzą wypogodzoną, jaką mu dał zgon.

Do koła stali posiwiali jego towarzysze broni ostatni, najmłodszy, a najstarszy z młodości czasów sługa leżał w kaplicy u Franciszkanów, w terecyarskiej sukni, czekając też pogrzebu. Rycerze spoglądali na wyciągniętego konaniem, drobnych zawsze rozmiarów, człowieczka tego, którego żelazny miecz, niernchomy teraz, wyciosał królestwo wielkie.

Patrzyli i milczeli.

Podwórza zalegały ciche tłumy. Smutek był na twarzach wszystkich.

W przedsieni, na marcowego wiatru zimnym przewiewie, nie czując go, poopierani o słupy, nieruchomi, jak posągi, stali u wnijscia, Trepka Jerzy, który królewiczowi towarzyszył nieodstępnie w latach ostatnich; poważny Jaśko z Melstyna, którego król synowi do rady nazначył, Mikołaj Wierzynek rajca krakowski, starego i młodego pana ulubiony sługa; Kochan Rawa, powier-

ny dworzanin Kaźmirza, i Suchywilk, kapłan, siostrzeniec arcybiskupi.

Kochan Rawa, którego wszyscy znali, najbliższym królewicza, choć się powinien był radować z tego, iż pan, którego był ulubieńcem, miał włożyć koronę, posepny stał i smutny.

Mężczyzna to był młody, silny, przystojny, w kwiecie wieku, Kaźmirza rówieśny, twarzy rozumnej, lecz namiętnego i zuchwałego wyrazu.

W bystrych oczach jego czytać było można, iż sprawcą mógł być lepszym, niż doradcą. Marszczyło mu się białe czoło od myśli ciężkich. Ręką ująwszy się w bok, a razem rękojeść miecza ściskając; drugą, to czoło pocierał, to wąs targał i brodę.

Zbliżył się doń Trepka, wyglądający poważnie a rycersko.

— Nie pójdziecie zajrzeć — spytał — co się z młodym panem dzieje?

— Byłem tam — odparł krótko Kochan — spoczynku mu potrzeba. Sam pozostał... Królowa stara modli się, młoda krząta się niespokojna. Jam go zamknął od nich, bo siły pokrzepić trzeba. Teraz ich dużo mieć musi.

Zbliżył się do rozmawiających Wierzynek.

— Straciliśmy ojca! — jęknął smutnie.

Nie odpowiadali mu długo.

— Ktoby tego pana nie żałował — podchodząc począł spokojnie Suchywilk, którego twarz

rozumna we wszystkich uszanowanie wzbudzała.— Strata to niepowetowana, aleć Bóg opatrzny dał nam godnego z lędźwi jego następcę. Ten podejmie i dokona, co tamten rozpoczął.

Nie trapmy się zbytnio.

Czas było znużonemu spocząć i pójść po zasłużoną nagrodę. Któryż z królów tak długo i skutecznie dla tej korony pracował.

Starzy tylko pomną początki, my z ich ust o nich wiemy... Z niczego on stworzył koronę tę na kawałki rozbitą, a pomyślcie z jakimi o nią walczył mocarzami! Z liczbą, z przewagą, ze złotem, ze złością, ze sprzymierzonymi, sam, nie mając nic nad łaskę pańską! Cuda przezeń czynił Bóg!

— Tak! — potwierdził głową skłaniając Jasko z Melsztyna — a tem trudniejsze zostawił dziecku dzieło na wpół dokonane, gdy pamięć trwa, ile uczynił, i nadzieja z nią, ile dopełnić syn musi.

Ani się dziwować, iż królewicz po ojcu tak boleje i pod brzemieniem się ugina. Wielkie ono.

— Każdy dzień ludzki ma troskę swą — odrzekł Suchywilk — lecz na ciężkie godziny z pomocą opatrzność śpieszy.

Spoglądali po sobie smutni.

— My wszyscy też tak winniśmy młodemu służyć, jakeśmy starego miłowali.

Głosy się podniosły potwierdzające. Kochan Rawa obojętnie na nich spoglądał.

— Mnie pana mojego żal — rzekł popędliwie — srogi żal! Skończyły się dla nas dni swobody i wesela. Z kolei zaprzęczenie go do tego pluga, z którego jarzma ani się na godzinę wyzwolić! Tak! teraz ani dnia, ani nocy, ani wytechnienia mieć nie będzie... We snach nawet troska zajrzy w oczy. Biedny pan mój! Korona śliczna, ale nie samą skroń, ciśnie ona całego człowieka, a zrzucić jej ani na chwilę nie można.

Wojna? — musi być żołnierzem, pokój? — gospodarzem mu być trzeba; nocą stróżem... Hej! hej! dola nasza!

Królem się będzie zwał, a w rzeczy niewolnikiem zostanie...

Jaśko z Melsztyna potwierdzał, głowę pochyłając.

— Tak jest — rzekł — ale królestwo, kapłaństwo, królestwo, ojcowstwo! Przez króle mówi Bóg, i żeby się stać godnym tego, wielkim a czystym trzeba być.

Kochan Rawa wesał się pokręcił i skrzywił się.

— No — dodał — i człowieczeństwa się wyrzec.

Mnie mojego pana żal!

Spojrzeli nań drudzy, nieodpowiadając.

Kochan posunął się zwolna ku drzwiom, które

wiodły do izb królewicza, inni pozostali w przed-sieni.

— Mnie się zda — rzekł Suchywilk, spoglądając za odchodzącym — iż temu Rawie nie tyle królewicza żal, co samego siebie. Lęka się, aby z łask nie wypadł i przystęp mu się nie utrudnił. Nie byłoby to może wielką szkodą dla młodego pana, choć on służy mu wiernie, lecz człek gorący, popędliwy, pan młody... Oliwy do ognia dolewać nie jest bezpiecznie.

Jaśko z Melsztyna spojrział na mówiącego i zamilkł. Inni ani przeczyli, ni potakiwali. Wierzynek, trochę na bok się usunąwszy, stał sam zadumany. Nadciągała starszyzna i dzwony pogrzebowe wszystkich kościołów w mieście jęczeć zaczęły.

Lud na Wawel płynął...

KSIEGA PIERWSZA.



Margareta.

W dziedzińcu krakowskiego zamku, na ławie pod murem, odpoczywało dwóch młodych ludzi. Po wytwornym ich stroju, postawach śmiałych i butnych, głosach donośnych, a obejściu się zamaszystem, po twarzach napiętnowanych wyrazem dumy, jaką daje łaska pańska, łatwo się było domyśleć, że się tu czuli, jak w domu, i że do dworu królewskiego należeli, a nawet mogli być blizkiemi jego osoby.

Wiosenne słońce, na którem usiedli, w zakątku tym, od chłodnego powietrza przysłoniętym, wcale przyjemnie dogrzewało.

Wiosna była młoda jeszcze i niebardzo ciepła

Jeden z tych dworzan wyciągał się swobodnie na kamiennej ławicy i rękę pod głowę podłożywszy, podniósłszy nogi do góry, przypatrywał

się lekkim białym obłoczkom przesuwającym się po niebiosach.

Niekiedy ręką swobodną podkreślał wąsa i poprawiał trefioną bródkę, która w brunatnych zwojach na piersi mu spadała.

Pięknej twarzy, wyrazistych rysów, brwi miał ruchliwe, usta dziwacznie się wykrzywiające, fizyognomię całą, jak woda od wiatru wzburzona, falującą i zmieniającą się ciągle.

Krew, która w nim grała, nie dawała mu uleżeć spokojnie, nogami tupał, wybuchał śmiechem, porywał się, kładł, przerzucał z boku na bok.

Drugi, który w końcu ławy, z nogą na nogę założoną, sparty o mur, odpoczywał; choć równie z pańska i butno wyglądał, spokojniejszej był natury — krzepki za to, silen, śmiały a dumny. Z góry spoglądał na towarzysza swego, jak na kapryśne dziecko, nie zdając się brać do serca jego wybryków i popisów dowcipu.

Jak jeden, tak drugi mieli na sobie, naówczas w całej Europie, po stolicach i dworach książęcych przyjętego kroju, ubiory. Obuwie śpiczaste z zadartymi do góry nosami, obcisłe spodenki, pasy ozdobne i kurtki z rękawami przystającymi do ciała. Na wierzch zaś ich narzucone płaszczyki z rozciętymi długimi rękawy, które się dosyć malowniczo nadawały do stroju.

U pasów kaletki nabijane srebrem i w pięknych pochwach mieczyki małe dopełniały ubioru.

Leżący na ławie z większem staraniem i wytwornością był przyodziany, troskliwość o wdzięk, rodzaj zalotności właściwej tym, co się za pięknych mają, objawiały się w kosztownych tkaninach i ich przyozdobieniu. Włos, który mu w puklach na ramiona spadał, był starannie uczesany, a nawet namaszczony, aby nabrał blasku. Pochwy mieczyka, kaletka, nosy obuwia świeciły srebrnemi i pozłacanemi ozdobami.

Młodym mógł się on jeszcze nazywać, ale już młodzieniaszkiem nie był. Świeża i piękna twarz, miała na sobie ślady życia niebardzo szanowanego; trzydzieści lat już pewnie mu minęło, ale ruchami i powierzchownością chciał być młodszym.

Towarzysz jego, mniej więcej tego samego wieku, zdrowy, zbudowany jak do zbroi, szerokich ramion, ani tak pięknym był, ani się zbyt troszczył, jak się ma wydawać.

Zdrowiem kwitły mu policzki, śmiało patrzyły szare oczy, ale usta, miasto słodkiej zalotności, miały wyraz dumny człowieka, który pewien jest swej siły.

Suknie jego podobnego kroju, jak pierwszego, z pospolitszej tylko tkaniny, czyste były, leżały dobrze, nie świecąc niczem.

Od leżącego na ławie miał więcej powagi i męskiego wyrazu spokoju.

Na zamku dosyć było cicho, bo król wycią-

gnął na łowy z niewielkim orszakiem; w bliskości czeladź się nie kręciła, młodzi dworzanie mogli rozmawiać swobodnie.

Nie miarkowali też głosu, i gdy leżący śmiał się, a siedzący obok odpowiadał mu głośno, rozlegało się po tej części podwórza ciasno dosyć murem opasanego.

Wytwornie strojnym był znany nam już ulubieniec króla Kochan Rawa; drugi zwał się Dobiesławem (Dobkiem) Bończą. Oba równie dobrze byli u młodego pana położeni, Dobek nawet miał urząd doraźnego sędziego sporów między dworzany.

Nie byli oni doradcami króla w sprawach ważnych, bo tych Kaźmirz szukał gdzieindziej; ale, w chwilach spoczynku, przy biesiadzie i stole, któremi młody pan nie gardził, na łowach i wybieżkach, przy wesółych rozmowach, do drobnych zleceń posługiwał się nimi najchętniej. Kochan sam przekonany był, i drudzy z obejścia się z nim królewskiego wnosili, iż mu był najmiłszym.

Król mu się nieraz zwierzał w sprawach, o których nie mawiał z innymi, zdając się być pewien jego serca i wierności dla siebie. Od dzieciństwa byli razem. Kochan młodych igraszek i zabaw nieodstępnym był towarzyszem; nieraz go za królewicza karano. Nikt nad niego lepiej nie odgadywał myśli króla i do jego upodobań

nie umiał się zastosować. Znał go na wylot, jak powiadał, i był tem dumny. Dawalo mu to zarozumiałość faworyta, bo nieraz poważni panowie rady jego zasięgali.

Dobiesław był także w łaskach, król na nim polegał, używał go chętnie, lecz z przenikliwością, która mu była właściwą, czuł, iż Bończa nie do wszystkiego by się nadał, a pochlebiać nie miał ani ochoty, ni umiejętności.

Poświęcenie obu równe było, miłość gorąca, charaktery wielce różne.

— Słysz, Dobek — gwarzył śmiejąc się i na ławie rzucając Kochan — ja sobie myślę, coby stary król nieboszczyk powiedział, gdyby wstał teraz z kamiennej trumny swej, i popatrzył, jak się tu u nas przez te lat osiem od śmierci jego zmieniło wszystko...

Zamku, dworu ani poznać! no, i po ziemiach inaczej. Od wojny się jakoś opędzamy, ludzie przecie mogą sobie odetchnąć! Z krzyżakami, co nam pokoju nie dawali, rozejm za rozejmem. W końcu my ich, nie dobywając miecza, zmusimy siedzieć cicho, aż póki...

Odchrząknął znacząco Kochan i zamilkł.

Dobek nań popatrzył z góry.

— Eh! eh — rzekł trochę szydersko. — Co ty, albo ja wiedzieć możemy, jak król sobie radę daje z krzyżakami! To nie nasza sprawa! Kasztelan krakowski, ks. Suchywilk, wojewoda, bi-

skup, ci może coś znają; król nasz swoich myśli przed ladakim nie rad się spowiadać!

— Jakbym ja potrzebował, ażeby mi mówiono to, czego ja się sam domysleć mogę! — rozśmiał się Kochan. — Albo oczów i rozumu nie mam?

Dobek niedowierzająco ramionami poruszył.

— Daj pokój — powtórzył — nie nasze to sprawy.

W tem z tobą zgoda — ciągnął dalej — że się u nas wiele zmieniło. Za nieboszczyka starego z prosta było wszystko, młody pan lubi, żeby mu się świeciło i błyszczało, a niegorzej wyglądało w Krakowie, jak w Budzie i w Pradze...

— Boć tak u nas powinno być — zawołał Kochan z przejęciem wielkiem. — Nasz pan choćby obok cesarza stanął, nie powstydzi się i nie da zaćmić nikomu. Jemu mało królewskiej korony! Takiego drugiego na całym nie ma świecie.

Czego mu brak? Uroda, tylko patrzeć nań, rozum, bystre oko, serce złote, postawa rycerska, wszystko u niego jest.

— Tylko szczęścia nie ma! — zamruczał Dobek chmurząc się.

Brwi się ściągnęły Kochanowi, nie odpowiedział nic.

— A no — odezwał się po dumaniu przedłu-

żonem — młody jest! Jeszcze wszystko co zechce może mieć. Co dla mężczyzny lat trzy dziesiątki! Przed nim świat i życie... Chybaby Bóg nie łaskaw, wiele i wielkich spraw dokaże...

Ja go znam, w nim, jak w kopalni, im głębiej zajrzeć, coraz skarby większe...

— Daj mu Boże wszystko dobre! — westchnął Bończa — któżby jemu źle życzył? jemu, co najbiedniejszego czleka, żebraka, chłopca, jak dziecko do siebie przygarnia... Dla każdego ma dobre słowo i serce dobre...

Milezeli znowu czas jakiś. Dobok ręce duże i silne wyciągał, jakby mu próżnowanie dokuczyło. Kochan pokręciwszy się na twardej ławie, zerwał się i usiadł, starając umieścić wygodniej. Spojrzał na Dobka.

— Jego na gwałt ożenić trzeba! — szepnął.

— Mnie się zda, że on o tem i sam myśli — odparł Bończa.

— O ożenieniu, jak o ożenieniu — przerwał Kochan — boć niewiast po świecie grzecznych i bez tego dosyć, ale jemu trzeba syna... On chce koniecznie potomka męskiego mieć... To jego jedyna troska, aby korona nie poszła po kądzieli, albo na Mazury, lub na jakie cudze ręce... Syna, syna mu trzeba, a tu...

Kochan się zadumał.

— Wiecie, co ta czarownica, babsko mu przepowiadało? — dodał, zwracając się do Dobka.

Dobek potrząsł głową.

— Nie wiem nic — rzekł krótko.

— Toście chyba nie ciekawi — rzekł Kochan — wszyscy przecie o tem wiedzą. Ja, co się mojego pana tyczy, muszę wiedzieć wszystko. Co jego boli, mnie boli.

O! żeby nie ta Klara — począł dalej pomrukuć — żeby nie ta Klara, której cień za nim chodzi, byłby on szczęśliwszy! I ta przepowiednia głupia nie byłaby tak do niego przystała...

Nieraz o niej przez sen gada, a uchowaj Boże mu który z tych Węgrów nawinie się przed oczy, jakby go podciął.

Dobek słuchał obojętnie, patrząc w górę na ulatującą w powietrzu gołębi parę.

— Ja z tej całej waszej węgierskiej historii — rzekł — ledwie coś, piąte przez dziesiąte wiem, bom naówczas na dworze nie był. Latałem jeszcze po ojcowskich lasach.

Ludzie o tem różnie prawią. Wyście pono byli z nim?

— A jakże? gdzieżem ja z nim nie był! W Pyzdrach nawet mało mnie krzyżacy nie pochwycili — mówił Kochan. Byłem, gdy się żenił z poganką, jeździłem na te Węgry, no, wszędzie! Mówię wam, od tego pobytu w Wyszehrodzie stał się jakby innym człowiekiem. Wprzód wesoły zawsze, żyć i pobiesiadować lubił, pośmiać się był rad... Nie od tego on i teraz, ale rzadko

i tylko, gdy się zapomni. Postarzał nagle, posmutniał... Ten tylko, co jak ja, widuje go, gdy on sam na sam się zostanie, wie, jak cierpieć musi.

Zdaje się, nie brak mu nic, a na nim ciąży coś, jak kamieniem.

— Troski, bo ma dużo — odparł Bończa. — Z czasem, choćby mu tam coś dolegało... zapomni.

— Zapewne — rzekł Kochan — ale na to potrzeba, aby jakaś lepsza dola zatarła wspomnienie tego smutku, a my sobie szczęścia napytać nie możemy.

Teraz się niby coś błyszczy, mnie się i temu wierzyć nie chce.

Dobek słuchał niebardzo chętnie, jakby się nie rad był rozgadywać w tym przedmiocie. Kochan przeciwnie, że się tych spraw lada komu zwierzyć nie mógł, rad był się przyjacielowi spowiadać. Ciążyły mu na piersiach.

— Od początku się jemu w domowych sprawach nie wiodło — ciągnął dalej. — Jam się na to wszystko patrzył. Ożenili go z tą litwinką nie dla niego, ino dla tego, że staremu królowi trzeba się było z Litwą związać, a Litwie z nim przeciwko krzyżakom.

Tyleśmy zyskali, że nam w posagu polskich jeńców przyniosła, co ich poosadzano na pustkach po tatarach...

Sorokow też soboli i kun nie wiem ile na koczuchy nam przyszło.

Na nieboszczkę panią nie nie powiem, piękna była, dobra była, ptaszę nie kobieta. Wsadzono ją do klatki, wywieziono z jej lasów, płoszyła się coraz jak ptaszę.

— Królewicza gdzieindziej, ją kędyindziej ciągnęło. Jemu się chciało na szeroki świat, na takie dwory, jak francuzki, włoski, węgierski, a Hannie do lasu zawsze! Prostaczkowata sobie była, jakby chłopianka, śmiała się na głos, nie zważając na ludzi, mówiła, co jej przyszło do głowy, nie pilnując dworskiego obyczaju.

Księża ręce łamali, bo się ledwie przeżegnać nauczyła. Król by ją był kochał może, a no do jej humoru zdziczeć mu trzeba było. Więc nie mógł... Żeby mu była choć syna dała, a tu córka.

Dobek przerwał od niechcenia.

— Masz mówić, no to powiedz mi lepiej całą tę nieszczęsną węgierską sprawę. Dobrze jej nie znam.

— Starą biedę i smutek przypominać — odezwał się pomyślawszy Kochan — to jak zgojoną ranę rozdrapać. A no, kiedy się zmówiło o tem, powiem. Byłem ci tam z nim.

Jechaliśmy naówczas z rozkazu starego pana do Wyszehradu do Karoberta i naszej królowej Elżbiety, żony jego. Wyście u tych fran-

cuzów nie bywali! Takiego dworu, jak u tych państwa na świecie widzieć trudno. Po naszym, jak raj się jakiś wydawał. Przepych wielki, a wesolość, a śpiewy, a muzyki, i wszystko strojne, pańskie, świetne, a obyczaje osobliwe, francuzkie i włoskie.

Z całego świata kuglarze, śpiewaki, rzemieślniki, mądrale, suknie od złotogłówów, opony od jedwabiów.

W święta, gdy występowali królestwo, mówiono, że i na cesarskim dworze piękniej być nie mogło. Wszystkimi językami słyzałeś tam mówiących, począwszy od tej mowy madziarskiej, którejem się ja nigdy ani słowa nauczyć nie mógł, aż do francuzkiej, włoskiej, niemieckiej i łacińskiej.

A że królowa, siostra naszego pana, bardzo zabawy, skoki, muzykę i turnieje lubiła i do dziś dnia lubi, było na co patrzeć i czem się cieszyć dzień w dzień.

Dopieroż na przyjęcie brata, którego Elżbieta kocha bardzo, gdy poczęła się zmagać, nie było chwili spoczynku. Łowy, turnieje, bankiety po bankietach następowały, skoki, śpiewy, igraszki różne. Kobiety na dworze węgierki, włoszki aż oczy rwały. Powiedziałbym piękne, jak anioły, ale chyba do nich nie były podobne. Kraśne dziewczęta i niewiasty, jakich u nas nie widać, ale gdy która spojrziała na człowieka, jakby

ogniem rzucił. Krew zdawała się kipieć w tych pogankach... strach! aż mrowie przechodziło!

Wziął z nas który do tańca, to nim miotała jak piórem...

Ucztowaliśmy i biesiadowaliśmy tydzień z górą, jak w raju! Między dziewczętami, co przy królowej były, najpiękniejsza pewnie zwała się Klara, a była córką urzędnika Karobertowego, imieniem Felicyana Amadeja. Powiadano o nim, że z małego był wyrósł, służąc pierw na dworze Maćka z Tręczyna Siedmiogrodzkiego, od którego do Karoberta przystał.

Dziewka była godną choć królową się zwać: twarz jak mleko biała, oczy czarne, włos kręczy, postać osobiwa, a i duma, którą, jak koronę, na głowie nosiła, piękności jej dodawała.

Zato ojciec jak zbój i drab straszno wyglądał. Olbrzymiego rostu, niezgrabny, szatańskie miał oczy koso patrzące i głos chrapliwy, gdy zaga-
dał, mrozem przejmował. Coś w nim było dzi-
kiego, jakby tylko co z lasu wyszedł. Dumą też
obrażał, bo choć chłopisko proste było, królowi
ledwie głową skłaniał.

Z tym pod wieczór na gościńcu się spotykać
najmężniejszemu nie byłoby wygodnie. Ale król
tego niedźwiedzia lubił, bo mu pięścią silną ład
na dworze utrzymywał.

Jam zaraz postrzegł w tańcu, że ta Klara na-
szemu królewiczowi w oko wpadła. Jednego wie-

czora, gdyśmy do naszych izb szli na spoczynek, zagadnąłem o nią, roześmiał się tylko.

Na drugi dzień sam mnie o nią zaczął i rzekł.

— Królewski kąsek!

Mnie ten drab ojciec z kosemi oczami stał na pamięci, odpowiedziałem tylko. — Niechno się miłość wasza temu staremu przypatrzy, od tej czarownicy ochota odejdzie.

Pan to w śmiech obrócił.

Królowa Elżbieta, że rada była brata jak najlepiej przyjąć i ugościć, spostrzegłszy, iż na Klarę oczyma rzucił, poczęła go nią prześladować.

Nie zapierał się, iż mu w oko wpadła.

— Piękniejszej w życiu nie widziałem — rzekł.

Więc mu potem Klarę i do tańca i przy biesiadzie ciągle do boku dawano, aby sobie nią choć oczy napasł.

Mówił mi o niej ciągle, ale narzekał.

— Jak z kamienia jest — powiadał — im ja się więcej staram w łaski wkupić, tem sroższa. Podarku żadnego przyjmować nie chce. Uśmiechu od niej, ni dobrego słowa nie dopytać; a odezwie się zmuszona, to jak żelazem w piersi żgnie...

W kilka dni jakoś królewicz nam zachorował.

Ksiądz włos, doktor królewski, kazał mu

dzień, albo dwa w łóżku spoczywać. Królowa o brata troskliwa, choć nie chciał, zmusiła go leżeć. A, żeby mu się nie nudziło, ciągle przy nim siadywała sama. Wieczorami zaś panny swoje przyprowadzała z sobą, każąc im na cytrach grać i pieśni śpiewać.

Ile razy do królewicza szła, Klara z nią razem iść musiała. Nas z przedsiemi wyprawiano, jako niepotrzebnych, żebyśmy się z dworem królewskim zabawiali.

Trzeciego dnia tej choroby, gdym późno już do królewicza powracał i miałem do drzwi się zbliżyć, nagle się one otwarły i Klara z rozrzuconemi włosami, blada, zapłakana, jak oszalała wypadła z izby królewicza, przemknęła się mimo mnie, nie widząc i znikła.

Strach mnie jakiś ogarnął, ale sądząc, że królowa u brata jest, czekałem w progu.

Gdy tak siedzę, słyszę, woła mnie pan. Wchodzę i zastaję go samego, na łóżku, ręce pod głowę, niespokojny jakiś, namarszczony, gniewny.

— Jutro mi się sposobić do drogi! — zawołał zobaczywszy mnie.

Chciałem rozmowę począć, aby się czegoś dowiedzieć, milczeć mi kazał.

Nazajutrz, choć mieliśmy bawić dłużej, mimo prośb króla i królowej, Kaźmirz, jakby ztąd uciekał, co żywiej pędził w drogę... Znając go, nie

próbowałem już się więcej od niego dowiedzieć. Milczący był, zasepiony, niecierpliwy.

Z Wyszehradu wyjechaliśmy z pośpiechem wielkim, jakby nam do Krakowa bardzo pilno było, tymczasem dalej podróż szła opieszale, małemi dniami. Raz w raz kazał stawać na spoczynek.

Było to w Maju, jak teraz, wiosna śliczna; droga by się pewnie nie przykrzyła, gdyby nasz pan nie włókł się nasepiony i bezmówny.

Jużemy do granicy naszej się zbliżali i na nocleg mieli, jednego wieczora rozkładać, gdy patrząc, znany mi dobrze dworzanin Elżbiety Janusz młody, we trzy konie, jak szalony nas napędza. Nim usta otworzył, jużem wiedział, że coś lichego wiózł za nadrą. Królewicz, zobaczywszy go, wybiegł, zbladł i zatrzęsł się cały.

Poszedł z nim Janusz do namiotu, a my tylko krzyki, głosy i wołania różne słyszeliśmy.

Czuliśmy, że się coś stać musiało, lecz co z sobą przywiózł, nie sposób się było domyśleć. Łamaliśmy głowy napróżno. Służba pytana milczała.

Dopiero, gdy Janusz wyszedł, dowiedzieliśmy się o wszystkim. Wkrótce nieszczęśliwa ta przystojna nie miała być tajemnicą dla nikogo.

Po dziś dzień nie wiem, czy królewicz, pan mój, któremu siostra ową Klarę Felicyonównę

zostawiła aby pilnowała chorego, winien był co czy nie.

To pewna, że dziewczyna poszła się jakoby skarżyć ojcu na królową i na niego, a stary wpadł we wściekłość wielką.

Drudzy powiadali, iż staremu zbójowi tego tylko było potrzeba, aby znalazł pozór do pomsty nad królem i królową, bo miał od dawna przeciw nim spiskować i sam pono wymordowawszy całą rodzinę królewską, chciał nad maziarami panować.

Więc, gdy we wtorek po przewodach, po wyjeździe naszym, król Karobert z królową i synaczkami Ludwikiem i Andrzejem w małej gromadce, prawie bez dworu, obiadowali w domu swym pod Wyszehradem spokojnie, nie obawiając się, ani domyślając niczego, nagle stary ów zbój ze swemi kilkunastu przyjaciół zbrojnemi wpadł do sali. Wprost z mieczykiem rzucił się na króla, którego gdy królowa bronić chciała i chwyciła za miecz prawą ręką, cztery palce jej odcięte padły.

Król też rękę miał skaleczoną.

Czeladź przerażona nieprędko się wzięła do obrony pana swego, dopiero, gdy ów wściekły z kolei na młodych królewiczów się rzucił, ich chcąc mordować.

Jan z Potoken, młody węgrzyn, rycerskiego rodu, dobywszy miecza między szyję i łopatkę

zbojcę trafił tak, że padł zaraz w miejscu omdlały.

Dopieroż na wrzawę zbiegli się dworscy, służba, pochwycono winowajców — i okrutną, straszną domierzono na nich karę.

Szarpano ich żywcem końmi na sztuki... Zgiął tak ojciec, córka Zeba z mężem Kopy, a Klarę poobcinaną obwożono po całym królestwie, aż i ją ścięto... Po wszystkich miastach porozsyłano ćwierci zbrodniarzy — głowę Felicjana w Budzie nad bramą przybito. Litości nie było dla nikogo, — ale też i królowa Elżbieta, którą teraz *kikutą* zwać, to jest bezręką, od tej pory z prawej ręki rękawiczki nie zrzuca, bo jej mało co dłoni zostało.

Opowiadający żywo Kochan, odetchnął trochę.

— Nigdy ja pana mojego — dodał po przestanku — nie widział takim, jakim był w pierwszych dniach po przybyciu Janacza. Chciał naprzód zaraz nazad jechać do Wyszehradu, do siostry — ledwieśmy odprosilili — Po tem zachorzał i leżeliśmy dni kilka na samej granicy, nie mogąc dalej do Krakowa. Nie wiedział co czynić i tak rozpaczał, choć nie sędzę, aby winnym się czuł, ale mu siostry i straconej tak okrutnie Klary srogi żal było.

Jużesmy nareszcie do Krakowa jechać mieli, gdy nad ranem, patrzymy — kupa Węgrów nadbiega. Myśleliśmy, że pogoń jaka, że zemsta.

W mgnieniu oka do obronyśmy się uszykowali, aż białemi chusty poczęli nam dawać znaki, wołając, że na miłosierdzie Boże, z królewiczem chcą mówić. Poznaliśmy w nich wtedy brata jednego Klary i powinowatych kilku nieszczęśliwej dziewczki, którzy popadawszy na kolana przed panem, o bezpieczny przytułek w Polsce prosili go. Poprowadziliśmy ich z sobą, i siedzą do tego czasu u nas spokojnie, tyle tylko, że się im królowi na oczy pokazywać nie wolno.

Dobek głową potrząsał.

— Wiem ich — rzekł — oni się Amadejami zowią, a na szczycie mają orła poobcinanego.

— A tak — odparł Kochan — królewicz im u ojca jeszcze ziemię wyprosił znaczną. Włos im tu nie spadł z głowy, tylko żeby się nie okazali na dworze przykazanie mają, bo na nich patrzeć król nie może, zaraz mu te krwawe dzieje na pamięć przychodzą...

— Chcą li czego, muszą przez Kasztelana prosić, a co zażądają, otrzymują.

Bończa wysłuchawszy opowiadania cierpliwie, rzekł tylko.

— Krwawe dzieje! bodaj o nich nie pamiętać.

— Posłuchajcież końca o babie — dodał Kochan. — Temu już rok jedenasty, jak się to stało com mówił. W kilka lat jakoś potem, przypadło nam znów jechać na Węgry. Pamięć się tam o

Amadejach trochę zatarła. Jechaliśmy do Budy, gdzie znowu przyjęcie było wielkie, ale królewicz pośród tych wesołości chodził jak struty.

Królowa Kikuta darmo go już zabawiać chciała, bo na niej przestachu i smutku nie pozostało ni śladu. Wesoła była jak przedtem i dwór jej znowu śpiewał a brzdąkał. Ucztowaliśmy na zamku dni z dziesiątek, nim powracać nam przyszło.

Drugiego dnia podróży trafiło się, że na nocleg do żadnej osady nie mogliśmy nadążyć... Noc nas zaskoczyła, musieliśmy w lesie rozbić podróżne namioty.

Zapalono ognie, zaczęli ludzie mięso piec i kaszę warzyć, gdy babsko jakieś stare do obozu się nam przyplątało. Ludzie chcieli ją biczyskami odpędzić, aż królewicz, z namiotu wyszedłszy, jak to on zawsze dla najbiedniejszych litośnym jest bez miary, zawołał zaraz, aby babie żadna się krzywda nie działa, jałmużną kazał obdarzyć i nakarmić.

Baba już od ludzi dowiedziała się, cośmy byli za jedni, oczyma jakimiś strasznemi poczęła się w królewicza wpatrywać, drżąc cała. Naostatek puściła się wprost do niego, aż nas strach jakiegoś uroku ogarnął. On stał śmiało.

Językiem mieszanym poczęła coś mało zrozumiałego pleść, to na niebo, to na ziemię ukazując, to w piersi się bijąc, to płacząc. — Potem ręki królewicza się domagała dla wróżby.

Stałem wówczas przy nim, i mówię:

— Nie dawajcie, na miły Bóg! niech się ona was nie dotyka... .

Uparł się i rękę wyciągnął.

Stanęła baba nad nią, brwi namarszczywszy, trzęsła się, mruczała, głową rzucała, pokrzykiwała... na ostatek płeść zaczęła...

— Co? co? zapytał Dobek.

— Koszałki-opałki, jak w gorączce, sama pewnie nie wiedziała co płoła — mówił Rawa — Ci co rozumieli, powiadają, że mu prorokowała, iż miał panować królestwu wielkiemu i mocnemu, na równi stać z cesarzami i największemi mocarzami świata, a potem nachmurzywszy się dodała. — Co potem! krew nad tobą! Amadeje! Amadeje... Ludzie przez cię szczęśliwemi będą, ziemie twoje zakwitną, nieprzyjacioły położą się pod nogi, zawładniesz ich krajami, a sam nigdy nie zaznasz szczęścia w życiu... tego, czego najgoręcej pragniesz, Bóg ci nie da! Amadeje!..

Królewicz zrozumiałwszy nieco, spytał niespokojnie.

— Czegoż ja to pragnąć mam? — a ona rzekła:

— Męskiego potomka z żadnej żony ci Bóg nie da i na tobie ród twój zginie, a korona pójdzie na obcą głowę.

Chcieliśmy babę przegnać, aby więcej mówić nie śmiała, lecz dokończywszy ledwie, chwyciła

się za włosy i z krzykiem — Amadeje — po-
biegła w las... Odszedłszy sporo, palcem się
w piersi poczęła stukać, ukazując na siebie i po-
wtarzając jeszcze — Amadeje!

Ale królewicz już był wrócił do namiotu, i nie
słyszał ani widział. Węgrowie, co tam szli, po-
wiadali nam, że z rodu tych Amadejów musiała
być.

Myśleliśmy, że on o tem łatwo zapomni, a no,
proroctwo to było jak trunek, którego mocy
człowiek nie poczuje gdy go pije, aż później gdy
go rozmarzy. Od tej pory król je ciągle przy-
pomina.

— Mało co głupie baby wróżą — odezwał
się Dobek. — Na psa urok! Zkąd jedna taka
żebraczka może wiedzieć, co Bóg komu przeznacza.

— A! a! mów zdrów — odparł Rawa —
baba, żebraczka, włóczęga, kto wie zkąd ona to
bierze, jaką ma siłę, i kto ją jej daje, pan Bóg
czy szatan, a przecie te całemu światu wiadomo,
że wiedźmy przyszłość wiedzą.

— Ty temu dajesz wiarę? — rozśmiał się
Bończka — ja, nie... Za co by go pan Bóg karać
miał, kiedy winien nie był?

Kochan zmilczał.

— Niech no się on ożeni — dodał spoczawszy
Dobek - niewiastę sobie dobrawszy, jak słyhać,
i do serca i do obyczaju swego, przyjdą synowie
i babie kłam zada.

— Tak — szepnął Kochan — ta, którą mu Czech swata, jemu bardzo do smaku, a — co potem, powiadają, że ona się go lęka i nie chce.

Dobek się obruszył.

— Jakby tak było, niech innej poszuka, jest ich dosyć. Byle mu niemki nie swatali znowu. Niemców jako ta zgaga Hans von Pforten, zagęściło się u nas na dworze i po miastach, do zbytku. Jakbyśmy jeszcze królowę dostali niemiecką, a z nią napłynęło dworzan i czeladzi!.. choć uciekać ztąd na kraj świata.

Rozprawiając tak niepostrzegli, że, gdy Dobek ostatnich słów domawiał, zwolna i podsłuchując zbliżył się ku nim mężczyzna nieco starszy od nich obu, gruby i duży, okrągły, włosów rudawych, twarzy piegowatej, pogardę i lekceważenie dumne wyrażającej, jak gdyby czuł się daleko zacniejszym i wyższym nad tych, na których dziko spoglądał.

Drgnął, posłyszawszy przez Dobka wymówione nazwisko — Hans von Pforten. On to był sam, Niemiec, w usługach króla od lat kilku zostający, do urządzania gonitw i turniejów obyczajem zachodnim używany. Zaufany wielce w swoje u króla fawory, opryskliwy, dumny, szczególnież z Dobkiem Bończą, z powodu poswarków z dworzany i jego sądów, był w ciągłych zatargach.

Usłyszawszy, co o nim i o Niemcach powiedział, Hans prychnął głośno i rzucił — Djabłem!

Ocknął się Dobek, spojrzął nań uśmiechając się z podębą i zawołał.

— Patrzajcie no tego Szwaba, jak mu mowa moja nie w smak! a ja ci, ty niemieze przeklęty, powtórzę raz jeszcze, żebyście sobie wszyscy szli z tąd do tego djabła, któregoś wspomiał, albo do twej ziemi nazad. Wy nam tu na naszych śmieciach śmierdziecie...

Niemiec warcząc, za rękojeść miecza pochwycił.

— Milcz, ty! jakiś! — krzyknął — milcz! Niemcy wam śmierdzą! a od nich, żaki musicie się uczyć wszystkiego! Cobyście bez nas mieli? co byście mieli? Skórani byście się jeszcze odziewali!

Nie dając mu dokończyć, Dobek się porwał, ale z majestatyczną powagą, bez widocznego wybuchu gniewu.

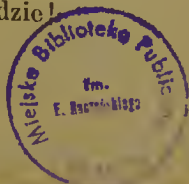
— Na naszej ziemi się spasteś, nasz chleb jesz... milcz ty, przybłodo! — krzyknął rozkazująco.

— Nie zamkniesz mi gęby — zawołał Hans, burząc się — nie! nie! I nagle krok naprzód się posuwając, miecz obużył.

Dobek stał, nie pomyślawszy nawet, dobyć żelaza, wargi tylko zakąsił.

Hans się picił z gniewu.

— Pójdźże precz ztąd, ty szwabie, pókiś cały! — odezwał się, usiłując spokój utrzymać — ruszaj! bo źle będzie!



— Z tobą źle będzie! — krzyknął Hans podnosząc miecz, jakby bezbronnego przez łeb ciąć zamierzał.

Lecz Dobek Bończa w mgnieniu oka przypadł do niego, rękę, w której miecz trzymał, pochwycił dłonią silną jak w obręcz żelazną, drugą, chwijący się miecz szarpnąwszy nim, wyrwał, i natychmiast nim okładać go począł.

Nim się ciężkie niemczysko opatrzyło, leżał już na ziemi, a na szerokie plecy jedne po drugich spadały razy, aż żelazo rozprysło się na kawałki.

Przyduszony kolanem Hans napróżno się wyrwać usiłował.

— *Fried — herr! Fried — herr!* — jęczał przyciśnięty do ziemi, sądząc, że ostatnia nadeszła godzina, bo Dobek, dawno doń zęb mający, niełitościwie go okładał.

Na wrzawę tę czeladź się zbiegać zaczęła ze wszech kątów — dworzanie, służba, kobiety, powtarzając ze śmiechem niezrozumiałe wyrazy:

— Frydry! Fredro!!

Dobka Frydrą przeżywa! co to znaczy?..

Szczęściem dla pokonanego, Dobek nie był krwi cheiwy, zbiwszy dobrze, puścił ofiarę, nie myśląc się więcej znęcać nad nią.

Podnosił się śmiejąc Bończa, gdy oczy zwróciwszy na tłum ludzi, który umilkł nagle, postrzegł z przerażeniem o trzy kroki stojącego

króla. Z łowów powracający Kaźmirz, wprost z konia przybył na krzyk i groźno, ale z małą ironją na ustach spoglądał na Dobka, który stał jak winowajca...

Pięknym był Kaźmirz w tej dobie swojego życia. Słusznego wzrostu, dorodnych kształtów, w pełni sił i zdrowia, z twarzą rysów szlacheckich, której jakiś obłoczek smutku dodawał uroku — miał w sobie majestat pański bez dumy, osłodzony dobrocią wielką.

Ubrany jak na łowy, z trąbką przez ramię przewieszoną, w czapeczce aksamitnej na głowie, w sukni opiętej i płaszczyku, z mieczykiem u pasa, stał, wzięwszy się w boki, naprzemianą mierząc oczyma to Bończę, to Niemca, który się z ziemi jęcząc dźwigał opylony i zobaczywszy króla, zwrócił się zaraz ze skargą ku niemu...

— Kto rozpoczął? o co poszło? zapytał Kaźmirz, zwracając się do Kochana.

— Niemiec się pierwszy do miecza porwał — odparł Rawa.

— Widzisz Hans — zawołał król — masz za swoje!

I pogroził Bończę.

— Ty byś zaraz ludzi zabijał! — rzekł i odwrócił się szybko.

Skończyło się na tém, ale tegoż wieczora, król, śmiejąc się, Bończę poczał przezywać *Fredrą*,

i przydomek ten tak przylgnał do niego, że i na rodzinę przeszedł.

Kochan jeden domyślał się, dla czego król tak prędko z łowów powrócił. Oczekiwano wiadomości od króla Jana z Pragi i syna jego margrafa Karola.

Każmirz, tym wszechmogącym groszem, którym z królem Janem, niespokojnego ducha, rycerskiej gorączki mężem, ciągle wyprawy jakiegoś znaczącego, wszystko można było uczynić, przejednał się i pogodził. Nieprzyjaciele niedawno, byli teraz sprzymierzeńcami.

Został Janowi czeskiemu na jego pieczęci na pamiątkę, w tarczy małej orzeł polski, obok lwów czeskich na chorągwi, i luxemburskiego na okryciu... do korony Kaźmirzowej nie rościł już praw żadnych. Słazko mu ustąpiono, a kilkadziesiąt tysięcy kop groszy dał Kaźmirz odezpuęgo.

Przyjaźń Jana nie była dlań za drogo okupioną, bo mu za tarczę przeciw krzyżakom służyła.

Szło teraz o bliższe jeszcze połączenie się z Luksemburczykami, których rycerskiego ducha król po części oceniał. Piękna Margareta, córka Jana, siostra Karola, owdowiała była po bawarczyku. Uczyniono Kaźmirzowi małżeństwa na-

dzieję, chwycił się jej z tym większym zapalem, że dwudziestosiedmioletnia wdowa, słynęła z wdzięków, z rozumu, a mogła mu dać tego upragnionego potomka, którego Kaźmirz tak pożądał. Synaczek jej nie dawno był zmarł, wkrótce po mężu.

Margareta, którą do Pragi sprowadzić miano, była mu przyrzeczona. Starali się smutną wdowę do małżeństwa tego nakłonić ojciec i brat.

Chodziły wieści, że była mu przeciwną, że lękała się kraju, który na rozterki i napaści tatarów wystawiony, nie słynął ani bogactwy, ani przepychem, do jakiego ona była nawykłą.

Kaźmirz oczekiwał wiadomości, co godzina. Nie chciał się z zamku oddalać nawet, aby gońca z Pragi nie stracić, nie dać mu czekać, nie zwlec ani chwili.

Wyglądano go uiespokojnie. Tymczasem w moc ojcowskiej poręki, Kaźmirz czynił wszelkie przygotowania do wesela. Nie mówiono o nim jeszcze głośno, aby w razie zwłoki nie nieć wstydu, lecz niepokój był na Wawelu, bo się tu wszystko do wielkiej i wystawnej gotowało podróży.

Król z łowów powróciwszy, natychmiast do siebie Podskarbiego kazał przywołać.

Znoszono do komnaty pańskiej kosztowności, z których miał wybór uczynić. Złocene puhary, srebrne misy, dzbany, rogi knute złotem, pasy perłami szyte, naszyjniki, naręczniki, kolec, pier-

ścienie z oczyma błyszczącemi, leżały porozrzu-
cane po stołach. Kilka opon szkarłatnych, per-
łami bogato szytych, rozpostarto w pół na ławie,
pół na ziemi.

W pośrodku tych bogactw, na które stary
Zyndram, Podskarbi, patrzył z żalością jakąś, czu-
jąc, że one z Pragi pewnie nie powrócą. Kaźmirz
stał roztargniony, nasłuchując i za najmniejszym
szelestem ku oknom podchodząc.

Nie przybywał ów poseł z Pragi. Choć o
zamierzonym małżeństwie króla nie wolno było
głosić zawczasu, wiedzieli o niem wszyscy. Zda-
nia dworn były podzielone, jedni dla króla, cho-
ciaż wdowca, wdowy sobie nie życzyli, drudzy
przewidywali, że u grosza chciwego Jana drogo
je przyjdzie okupić.

Kaźmirz pragnął połączyć się z tym domem,
a Margaretę odmalowano mu tak, że zawczasu
w niej był rozmiłowany. Sądząc z ojca i brata,
z tego dworn, który stał ogląda i obyczajami na
równi z francuzkim, Kaźmirz widział to w Mar-
garecie, czego mu właśnie brakło w Aldonie. Ma-
rzył o niej jako o niewieście, która go zrozumieć
potrafi, podzielać myśli jego i osłodzić mu życie.

Każda chwila przedłużająca niepewność i oczę-
kiwanie wiekiem mu się wydawała.

Zyndram stał, patrząc to na pana, to na kosz-
towności przed nim rozrzucone, czekał słowa,
rozkazów.

— Stary mój,— przemówił wreszcie król, jakby ocknąwszy się z zadumy — wszystko to piękne jest... a wszystkiego tego dla córki króla Jana za mało... Radbym jej pod nogi rzucić co najpiękniejsze i najdroższe na świecie. Warta jest tego.

— Wybierz co najwspanialsze, nagromadź jak najwięcej.

Byłeś w Pradze? — zapytał nagle.

Stary Zyndram podniósł siwą głowę powoli zdziwiony nagle pytaniem. Chwila upłynęła, nim się zebrał na odpowiedź.

— Dawno już, dawno, miłościwy panie.

— Takimby ja, z pomocą bożą, chciał mój Kraków uczynić — odezwał się król ręce składając. Wspaniałe, przepyszne, wielkie, bogate i silnie obronne miasto... Tam się nam uczyć rządzić, budować i ład zaprowadzać.

Zyndram nie rychło odpowiedział.

— A jednak od tych, co tu przybywają, miłościwy panie, skargi słyszymy mnogie. Ta wspaniałość, mury, królewskie wyprawy po świecie, dwór, rycerstwo, ogromnie kosztują. Żydzi się do nas wynoszą, tak ich tam podatkami okładają niemiłosiernie, uciekają mieszczanie, tyle z każdym powrotem do Pragi król Jan od nich wyciąga...

Kaźmirz potrząsł głową.

— Kiedyż się nie skarżą ludzie? — odparł. —

Naród czeski może się swym monarchą pochłubić! za wzór go rycerzom stawić.

Milczał Zyndram, gładząc brodę, przeczyć nie śmiał.

— Ludzie powiadają — dodał po cichu, widząc króla zamyślnego — że monarcha ten zapewne nie długo już panować będzie. Musi się synem wyręczać.

— Chory jest na oczy — rzekł Kaźmirz. — Lekarz arab niecny człek, już go prawego pozbawił, lecz jeździł do francuzkich doktorów, wraca właśnie z Montpellier i Awinjonu, Bóg da...

Król zadumany nie dokończył, i po małym przestanku rzekł, westchnąwszy.

— Margrabia morawski Karol, godzien ojca! Jego i żonę jego Biankę kochają Czesi...

— Ma on i nieprzyjaciół — szepnął Zyndram, który się zdawał dobrze uwiadomionym.

Król popatrzał nań i zamilkł.

W przyległej sali, w której zwykł był przyjmować, siedzący dworzanie, marszałek i służba poruszyła się, szeptano. Kaźmirz bacznie ncha nastawił.

Wtem zlekka podniosła się u drzwi opona i cichym głosem oznajmił dworzanin dostojnych gości przybycie.

Król zostawiając Zyndrama przy rozłożonych klejnotach, żywo wyszedł do sali.

W pośrodku jej stali oczekujący nań dwaj

duchowni z krzyżami na piersiach, w sukniach biskupich. Wesolą twarzą witał ich król obu.

Pierwszy z nich był słusznego wzrostu, okazałej postawy, rozumnego oblicza, któremu tylko odbierały wyrazu nieco zmrużone, zmęczone i chore oczy.

Wejrzenie z pod powiek wychodziło nateżone, niepewne, z wysiłkiem; ręką zasłaniał się od światła. Pomimo tego cierpienia twarz odznaczała się pogodą i majestatem; rysy jej pełne były energii męskiej i razem łagodności.

Był to Jarosław Bogorja, Arcybiskup Gnieźnieński, ojciec duchowny i umiłowany królowi kapłan; najbliższy jego serca, powiernik myśli i doradzca.

Stojący za nim skromnej, niepozornej postaci, chłodnego wyrazu twarzy, z rękami zsuniętymi w szerokie sukni rękawy, mąż nie młody już — wiekiem nieco pochylony, był Jan Grot, Biskup Krakowski.

Nawiedziny te Kaźmirz przyjmował z widoczną radością, jakby ich pożądał i czekał..

Dwór otaczający usunął się natychmiast, zostali sami, Arcybiskup usiadł przy królu, Jan Grot przy nim milezący.

— Są wieści jakie? — zapytał Bogorja, ze współczuciem zwracając się do Króla.

— Spodziewam się! czekam! pożądam, ale dotąd nic z Pragi, począł Kazmirz, wzdychając.

Obawę wielką mam — dodał ciszej nieco — Komuż na nieprzyjaciółach zbywa? Mnie i mój kraj odmalowano pono księżnie Margarecie tak, by ją zrazić i nastraszyć...

Na dworze Jana, przy margrabi Karolu, ludzie są różni i zamiary ich rozmaite. Są tacy, którzy przeszkodzić by radzi.

— Lecz miłość wasza — przerwał arcybiskup — masz za sobą ojca, masz brata. Ci najbliżsi są, od nich dziś wdowa zależy. Małżeństwo to, da Bóg, przyjść musi do skutku...

Podniósł ręce do góry.

— Da Bóg! powtórzył.

— Najżywiej go pragnę — począł król — lecz im dłużej się przeciąga niepewność, więcej trwożę.

— Modlimy się — rzekł cicho Biskup krakowski.

— Wprawdzie — dodał Kazmirz, zniżając głos i spuszcżając oczy — zapewniłem siostrzeńcowi Ludwikowi następstwo po mnie... lecz jeszcze się nie wyrzekł nadziei że mnie Bóg, mężkiem potomstwem obdarzy.

Biskupi milezeli, król posmutniał.

— Wiem, że w Budzie nie radzi będą ożenieniu mojemu, i siostra Elżbieta żal czuje do mnie, nie mogę się jednak pogodzić z tą myślą, abym miał być ostatnim.

Arcybiskup przeżegnał mówiącego w cichości i szepnął.

— Ja mam dobre przeczucia, nie odmówią Wam. Da się córka króla Jana nakłonić... nie do pogardzenia jest królestwo, które Bóg coraz nowym przyrostem obdarza... zdobyliście Ruś, odzyskacie kiedyś Pomorze, Mazowsze też musi się kiedyś połączyć...

— Myślę — dodał powoli Jan Grot — że i owe skarby na Rusi zdobyte, o których po świecie szeroko prawią, królowi Janowi ochoty dadzą do swatania córki, bo żaden jest grosza... a rozsypuje go niebacznie...

— Sławę zdobywa — odparł Kaźmirz — a ta więcej warta niż złoto.

— Rycerz prawy — rzekł Arcybiskup — ale też jako rycerz niepohamowany i niunoszony w namiętnościach. Szkoda, że piękne swe przymioty kazi tem zuchwalstwem...

Król zarumienił się nieco.

— Wiele przebaczyć trzeba tym, którzy brzemiona ciężkie noszą na barkach — rzekł zwrócony do Bogoryi.

Jarosław odparł łagodnie.

— Wiele przebaczyć trzeba, ale *wszy thiego* nie można...

Rozmowa przerwana została... wszedł Kanclerz, niesiono do wiadomości króla przygotowane zapisy dla kościołów, zamiany wiosek, nadania.

Każmirz słuchając i potakując, oczy miał ciągle zwrócone ku podworcom, uszy wyteżone na szmer, jaki z nich tu dochodził.

Po wyjściu biskupów, nadeszli inni urzędnicy. odprawieni łaskawie, ale obojętnie; myślą był pan gdzieindziej.

Kochan Rawa. znający go dobrze, czytający w oczach tę niecierpliwość i zawsze cheiwy przy-sługi, stał w przedsieniu, aby spodziewanego z Pra-gi gościa pierwszy pochwycił i panu przyniósł, jak się spodziewał, wesołą nowinę.

Lecz wieczór nadchodził, a posła pożądanego nie było. Coraz fraszliwszym stawał się Kaźmirz...

Z końcem dnia uchodziła nadzieja, aby wieść nadejść mogła rychło. Niechętnie naówczas po-drożowano nocami, drogi były niepewne, rozboje częste...

Kochan poszedł do pana, któremu ochmistrzyni właśnie przywiodła była córkę sierotkę.

Król ze smutkiem, w milczeniu ścisnął szcze-bioczące dziecko, a na widok nadchodzącego po-wiernika żywo je odprawił.

Gdy sam na sam znajdowali się z sobą, nlu-bieniec, który przy ludziach głębokie, królowi należne okazywał uszanowanie, przybierał dawny tryb poufaly...

Kaźmirz takim go mieć lubił.

— Kochan — zawołał wybuchając — co ty mówisz na te zwłoki?? Ja przecucia mam złe!

— Ja najlepsze — odparł wesolo — ulubieniec. Lecz, gdyby mnie ono omyliło, miłościwy panie, czyż tak trudno o księżniczki dla młodego i pięknego króla?

— Ja tej chcę a nie innej — żywo począł król, a spostrzegłszy, że się Kochan uśmiechnął, dodał:

— Powiesz mi, żem jej nie widział? lecz, odmalowali mi ją na dworze Karola ci, co ją znają od dzieciństwa... jakbym miał przed oczyma ją i jej piękność!! Jest piękniejszą od innych, i ma w sobie ten charakter szlachetny, który ja w jej rodzie cenię. Coś zé krwi bohaterskiej Jana. Innej nie chcę nad Margaretę!

Kochan słuchając, ramionami poruszył.

— Już dla tego samego, żeście mogli, miłościwy panie, tak ją umiłować nie widząc, powinna być waszą.

— Musiała przybyć do Pragi — dodał król. — Margrabia Karol przyrzekł mi, iż dołoży starań, by ją przekonać, że za mąż iść powinna.

— Do królewskiej korony nie tak bardzo namawiać potrzeba — odparł Kochan szydersko. — Podroży się piękna wdowa, ale ręki nie odmówi.

— Dalby to Bóg — rzekł król.

I zwrócił się, zbliżając szybko do dworzanina swego.

— Kochan — rzekł — wszak prawda, wstydu sobie uczynić nie damy w Pradze! Potrzeba wy-

stąpić tak świetnie jak na króla polskiego przystało, ty mi pilnuj! Ja głowę tracę z tej niecierpliwej miłości dla kobiety, której nie widziałem w życiu. Najlepsze konie, najwspanialsze opony, najkosztowniejsze suknie, zbroje...

— Cały skarbiec trzeba zabrać z sobą, bo tam lakomych nań rąk wyciągnie się siła — odparł Kochan.

— Skarbiec? niech idzie cały! zawołał Kaźmirz, potrafimy go napelnić, a w Pradze musimy olśnić ich.

— Lud mi wybierz dorodny! — dodał król — ja na ciebie wszystko zdaję. Nie żałuj nic... odpowiesz mi...

— Uczynię wedle rozkazu — rzekł Kochan — ale czas, aby miłość wasza kazała dać wieczrę, i zapomniala przy stole o trosce... Mnie już z wieczernika dochodzi zapach nieświwa...

Tym sposobem, jak zwykle, Kochan usiłował króla rozerwać. Wywiódł go do jadalni, stanął za nim ze dzbanem, skinął na Szupkę, dworskiego błazna, aby pana zabawiał, zagadał sam, podbudził drugich, i nieco chmury z czoła królewskiego rozpędził.

Kaźmirz jednak za każdym głośniejszem w dziedzińcu, u bram wołaniem, odwracał się, nasłuchiwał, posyłał. Snł jeszcze o pośle z Pragi, którego się nie doczekał dnia tego.

Kochan od brzasku na gościniec ku Pradze

na najszybszym koniu wyprawił młodego Przedbora Zadotę, przyjaciela swego, w nadziei, że ten może spotka gońca, dowie się coś od niego i z dalszą wieścią go wyprzedzi. Stało się właśnie jak żądał. Przedbor, który do Króla był wielce przywiązany, jak wszyscy, co go otaczali, ani siebie ni konia nie oszczędzał, i w istocie o mil parę od Krakowa spotkał Mikulasa z Lipy, którego król Jan wyprawił, aby przybycie Margarety i jej zezwolenie na małżeństwo zwiastował Kaźmirzowi.

Margrabia Karol dodać kazał ponownie, aby król polski, odebrawszy wiadomość, pospieszał na wesele, dopóki by wahająca się księżna nie zmieniła postanowienia pod wpływem osób, które się o to starały.

Do pospiechu zachęcać króla nie było potrzeba pewnie.

Przedbor chwyciwszy języka, Czechom dając spoczywać i do wjazdu się sposobić, sam konia poparł tak, że ostatnim tchem jego dobiegł do Wawelu.

Dwa słowa zamienili z Kochanem i ulubieniec pański biegł z twarzą rozweseloną do komnaty, w której król wielkimi, niespokojnemi przecha-dzał się krokami.

Uśmiech jego i oczy błyszczące dały odgadnąć dobrą nowinę.

— Czechy przybywają za godzinę! — zawo-

łał w progu Kochan — niosą zaproszenie na wesele.

Każmirz rzucił mu się na szyję, Kochan go całował po rękach.

— Zkądże wiesz?

— Posyłałem Przedbora...

Złoty łańcuszek ze stołu chwyciwszy król zawiesił na szyi Kochanowi.

— Zadorze nagrodę jaką chce! — zawołał — Rozkazy wydawać do podróży, na jutro... Radbym dziś... Każmirz poruszony wielce ręce łamał. Śmiał się i sam miarkować się usiłował, gdyż sobie nawet śmiesznym się i zbyt młodym wydawał. Wielka radość nie dawała mu spokoju. Żywa wyobraźnia malowała piękną Margaretę, życie z nią, kolebkę syna, przyszłość jasną i wielką.

Przymierze z Janem osłaniać miało Polskę, na Rusi jeszcze czekały zdobycze, krzyżacy musieli być pokonani.

Zdało mu się, iż wszystko to od ożenienia zawisło, że z niem nowa era w życiu rozpocząć się miała, przebaczenia, pokoju, domowego szczęścia, błogosławieństwa Bożego.

Około południa Czesi, przeodziawszy się w mieście w gospodzie, jak na posłańców króla przystało, — strojno i zbrojno wjechali na krakowski zamek. Tu już dwór cały, okazały, liczny, czekał na przyjęcie, król w posłuchalnej sali

z kasztelanem i wojewodą krakowskim, w mnogich dostojników otoczeniu, gotował się na powitanie Mikulasa z Lipy.

Był on synowcem wielkiego podkomorzego króla Jana, i proboszcza wyszehradzkiego Jędrzycha. Z postawy i ubioru łatwo w nim poznać było można rycerza, co przy swym królu długo wędrował po świecie i umiał z tego korzystać. Właśnie miał to Mikulas, czego na dworze Kaźmirzowym wielu brakło, ogladę, pańskość, wytworne i miłe obejście się zachodnią cywilizacją zmiękczonego człowieka.

Każdy ruch jego był obrachowany i wdzięczny. Nie brakło mu siły. bo cóż był wart wówczas rycerz bez niej, gdy coraz bardziej zaczęto się okuwać żelazem, i okrywać niem od stóp do głowy, gdy tak odzianemu potrzeba było zwijać się zręcznie, na równie opancerzowanym do turniejów koniu?

Znaczna część polskiego dworu z pewną zazdrością spoglądała na tego wyelegantowanego posła, którego strój, uzbrojenie, koń, rynsztunek nowe były, kształtów niezwykłych i form wytwornych.

Poselstwo przyjął król uprzejmie. Stoły gotowe były na ugoszczenie. Zasiadł Kaźmirz pierwszy raz od dawna z myślą wesołą, z mową swobodną, dopytując o króla, o margrabiego, o przyszłą narzeczoną.

Mikulas z Lipy nadto był zręcznym dworakiem, aby całą prawdę miał wyznać, odpowiadał więc ogólnikami i starał się wszystko w świetnych barwach malować. Ucztowano tak długo, Kazmirz wstał wreszcie, a Kochan, dodany posłowi za towarzysza, zaprowadził go do jego komnat dla spoczynku.

Tu dopiero Mikulasowi rozwiązały się usta. Kochan był mu poufale znanym z Pragi.

— Nie smućcie pana waszego — rzekł posel cicho. — Wieści takim przywiózł, jakie mi dano, ale nie wszystko u nas dobrze się dzieje. Król Jan oślepl już i na drugie oko, tak go dobrze doktory francuzkie kurowały. Chodzi i myśli o pokucie za grzechy. Margrabia ma wrogów, choć Mikulasa z Potstajnu zmógł, a królowna Margareta, choć słowo dała, płacze, i trzeba je spieszyć wziąć, aby nieodebrała. Więc w drogę! ale królowi o złem nie mówcie. Ujrzy je prędko oczyma własnymi..

Kochan zachmurzył się.

— Na milego Boga, o tem nikomu ani wy, ni ludzie wasi, nie powiadajcie na dworze.

— Królowi staremu wzroku nie przywrócimy! ale gdy Margareta wasza zobaczy narzeczonego, otrze łzy pewnie i z dobrej woli rękę mu poda.

Mikulas skłonił głowę milezący.

Nazajutrz ogromny orszak kilkuset jezdnych, wozy kryte, konie powodne, czeladź mnoga, wy-

ciągała z zamku na Wawelu. Wesele twarze rozjaśniało. Spodziewano się dobrych, pięknych dni majowych nad Weltawą.

Król jechał otoczony panami. odmłodzony, szczęśliwy, i na progu kościoła wzięwszy biskupie błogosławieństwo, podniósł oczy śmiało ku niebu.

W mieście czekali nań rajcy, wójt, ławnicy, iud tłumnie zebrany. Żegnano go i błogosławiono, by żyw a zdrów z królową powracał. Śmiały się oczy i usta Kaźmirzowi, i mijając, ręką pozdrowiał. Wtem pod ścianą starego domu zatrzymało się jego oko, twarz zbladła, usta zatrzęsły. Ukryty tak, jakby nie chciał być spostrzeżonym, stał w kącie mężczyzna blady, czarnego włosa, oczu dzikich, nst zapadłych. Miał na sobie rycerską zbroję, a w ręku toporek, na którym się podpierał. Ujrzawszy króla przycisnął się do ściany, twarz osłonił, lecz Kaźmierz spostrzegł go i jechał, jak rażony pociskiem. Nie widział już nic. Przed oczyma jego poszarpane ćwierci ciał ludzkich latały krwawe.

— Szatan tu przyniósł Amadeja! — mruknął Kochan mijając.

Świetną już i wspaniałą była owa „złota Praga“ nad Weltawą za króla Jana Luksemburczyka.

Niewiele miast w Europie mogło się z nią równać.

Natura dała jej położenie nrocze, malownicze, jakby stworzone dla królewskiego grodu, a pokoleń kilka pracowało nad upiększeniem i wzrostem zamków, które panowały nad miastem, i murów, co je otaczały i zdobiły.

Zdała już mury te, najeżone wspaniałemi wieżami, wśród których wielka wieżyca świętego Szczepana i wyniosła przy św. Franciszku górowały, — dachy i dzwonnice licznych kościołów, ogromne, warowne ściany, dzielące stare miasto od nowego pod grodem, dawały wyobrażenie o potędze stolicy, która wkrótce ulubioną siedzibą cesarza Niemiec całych być miała.

Stare miasto, *civitas antiqua*, odznaczało się szczególnie, wielką ilością pięknych kościołów i mnogością murowanych domostw wspaniałych. Zakony św. Franciszka, Dominika, Benedyktyni, świątynie św. Jacka, św. Krzyża, św. Mikołaja zdobiły tę część miasta, która była ziarnem, co puściło latorośle do kola. Dumny swą starożytnością gród-matka murami się osobno opasał i ogrodził od nowego, które teraz już z pierwotną osadą walczyło o lepsze. Sześć, wspaniałych po większej części, bram wiodło do niego. Tu był piękny dom biskupi, niedawno wytwornie przyozdobiony, w którego malowaniami okrytym,

rzeźbami strojnym wieczerniku, pasterz mógł królów przyjmować.

Stary gród pański nad nim, z najdawniejszą św. Wita świątynią i klasztorem przy niej, z pałacami, wieżami swemi, „rajskim dworcem“, po którym wspomnienie i imię zostało, z dworami burgrabiego i innych urzędników królewskich, dumnie ponad miastem się wznosił.

Dokoła szeroko już rozlegały się przedmieścia na Porzeczu, Podskale, Zderaz, pod Wyszehradem, Podole, niemal aż do Zbrasława się rozchodząc.

Żydzi, z których król Jan ciągnął tak wielkie dochody, mieli już nietylko swą część w starem mieście, ale i zahradę na Porzeczu.

Na Wyszehradzie którego dawny pałac królewski darowany był dziekanowi, wznosił się dźwignięty z ruin kościół św. Piotra.

Miasto już, jedno z pierwszych naówczas, nawet około porządku i czystości ulic swych i targów się krzątało. Piękną była, domami bogatych mieszczan otoczona Długa ulica, a Sukiennice pragskie może do budowy później urządzonych krakowskich posłużyły.

Jak w polskich miastach rzadkie jeszcze naówczas były mury, któreby im powierzechność wspaniałą nadać mogły; tak tu niemal gród cały stał już z kamieni i cegły.

Były one nietylko ozdobą, ale rękojmią bez-

pieczeństwa, bo osłoniąca niemi Praga, w ówczesnym stanie sztuki wojennej i oblężniczej za niezdobytą uchodzić mogła. Po za temi grubemi ścianami, których wysokie wieże bronić dzielnie dozwalały, mogły się bezpiecznie gromadzić bogactwa, jakie przemysł i handel sprowadzał.

Rycerskiego ducha królowi Janowi stolica taka przystała. Należał on do najmężniejszych osób, do najniespokojniejszych, chciwych panowania, władzy, sławy i blasku monarchów współczesnych, ciągle potrzebował nowych wypraw, zdobyczy, gorączkowego zajęcia, namiętnie ściganego celu. Praga była mu za ciasną jeszcze, nazbyt od świata odległą. ale z miłością ojcowską zdobył ją, rozszerzał, i zazdrosnym był o panowanie nad nią.

Gdy, zmuszony podzielić się władzą, zwierzył rządy Czech synowi Karolowi, margrabiemu morawskiemu, który wraz z małżonką swą Bianką wkrótce pozyskał wielką miłość narodu, Jan niespokojny o współzawodnika w synu własnym, od rządów go wkrótce oddalił.

Lecz wnet znowu miał być zmuszonym do wypuszczenia z rąk tych wodzów, które tak zazdrośnie trzymał w rycerskiej dłoni. Rycerzowi nie szczęściło się.

W czasie drugiego swego wesela z Beatrycą, ranny silnie w turnieju, wkrótce potem cierpieć zaczął na oczy. Lekarz arabski, sprowadzony doń,

pozbawił go prawego oka. *For populi* to nie-szczęście przypisywał karze bożej za mnogie świętokradztwa i zbytki.

Wkrótce i lewe oko cierpieć zaczęło, nie mogła podróż do lekarzy w Montpellier. Król Jan właśnie teraz oślepl zupełnie. Nie przeszkadzało mn to turnieje odprawiać, prowadzonemu przez kompanów, i zabawiać się jak dawniej rycerskimi sprawami.

Przymierze z królem Kaźmirzem, które się teraz małżeństwem ściślej jeszcze skojarzyć miało, już od lat sześciu, od zjazdu w Wyszehradzie węgierskim, trwało prawie nienaruszone.

Naówczas to król młody po raz pono pierwszy odwiedzał Pragę. bawił w niej dni dziesiątek, przyjmowany wspaniale, rozmiłował się w obyczajach zachodnich, w oglądzie rycerskiego dworu, we wszystkich tych zdobyczach cywilizacyi zachodu, które w otoczeniu króla Jana go olśniewały.

Wówczas też może, widząc kwitnące miasta czeskie, wspaniałe grody, porządek i surową karność panującą tu, powziął myśl szczęśliwą zagospodarowania w podobny sposób własnego kraju. Dwory węgierski i czeski były mu pewnie pierwszym wzorem do urządzenia polskiego.

Bystry nmysł jego widział, co ztąd wziąć mógł, a co odtrącić, co zastosować się dawało do Polski, a co jej nie przystało.

Lecz, jakkolwiek troiste przymierze między Węgrami, Czechami a Polską pozornie istniało nie-naruszone, nie było już ono tak ścisłem, jak w pierwszej chwili.

Połączenie koron polskiej z węgierską, które już było osnute i ułożone, staraniem siostry Kaźmirzowej Elżbiety, nie mogło podobać się Janowi Czeskiemu. Tworzyło ono siłę, która dlań niewygodną była.

Dlatego król Jan Kaźmirzowi, zawczasie rozpaczającemu o płci męzkiej potomka, radził ożenienie, a gdy własna córka jego Margareta owdowiała, starał się ją wyswatać polskiemu królowi.

Od kilku już dni księżna Margareta powróciła, ściągnięta przez ojca, do Pragi.

Przybyła, jakby na okazanie wstrętu swego do nowego małżeństwa, w szatach żałobnych po mężu i po synu swym, którego niedawno straciła.

Ojciec, który nie widział już nic, o żalobie się dowiedziawszy, zrzucić ją kazał.

On i margrabia Karol otaczali ją najtroskliw-szemi staraniami, pieścili, usiłując skłonić, ażeby Kaźmirzowi ślubowała. Wieści, jakie w Bawaryi będąc jeszcze, miała o Polsce Margareta, wcale ją do tego związku zachęcać nie mogły. Malowa-no jej kraj, jako dziki i pustylny, lasami zarosły, zimny i smutny, nędzny i ubogi, na ciągle

wystawiony wojny i napady, Króla, jako pól poganina, który żon brał tyle, ile chciał i życie prowadził rozwiąze.

Wcale inaczej mówił o Kaźmirzu król Jan i margrabia morawski. Chwalili go, jako najszlachetniejszego serca, nmysłu bystrego, najlepszymi chęciami ożywionego człowieka, pana wielkiego królestwa i ogromnych skarbów, na Rusi zdobytych.

Samą zresztą osobę młodego pana, który rycersko i pięknie się przedstawiał, a w gonitwach i turniejach nikomu nie ustępował, król Jan wynosił i sławił.

Napróżno Margareta, ojca ściskając, zapewniała go, że za mąż iść nie chce. Despotyczny Jan żądał od córki poświęcenia dla interesu własnego i chciał ją widzieć koniecznie na królewskim tronie

Nie dawano jej prawie spocząć, odetchnąć, rozmyślić się, nalegając o słowo.

Jednego z tych dni, które poprzedziły wysłanie Mikłasa z Lipy do Krakowa. po długiej przy stole po wieczery rozmowie z ojcem i bratem, Margareta znużona wyszła nareszcie do izb dla siebie przeznaczonych.

Liczny dość dwór niewieści, po większej części z niemiek złożony, ją otaczał. Pomiedzy temi paniami i pannami, rozdzielonemi na dwa obozy, jedne potakiwały wdowie, drugie, idąc za rozka-

zaniem króla Jana, starały się ją do małżeństwa nakłonić.

Stara niegdyś piastunka Margarety, pół włoszka na pół niemka, Agnes, przez przywiązanie do wychowanki, stawiała w jej obronie. Obawa ściągnięcia na siebie gniewu ojca możeby była ją powstrzymała od zbytnej gorliwości, gdyby za przybyciem do Pragi nie znalazł się ktoś, co znając jej wpływ, natychmiast starał się z niego korzystać.

Był nim, od dawna w Pradze osiadły, znaczny handel wiodący z Węgrami, mający na dworze tamtym stosunki, Hinko Pelarz.

Był to człowiek nieodgadnięty, milezący, umiejący się wcisnąć wszędzie, znikający często na ulugo, odbywający podróże, liczne mający związki, dobrze widziany od duchowieństwa i dworu, podejrzewany jednak przez swych współbraci o jakieś polityczne konszachty.

Nikt nad Pelarza niżej się nie kłaniał królowi Janowi, nie służył gorliwiej margrabiemu Karolowi, nie przykładął się hojniej do pożyczek, jakich król od mieszczan wymagał; a pomimo to po cichu oskarżano go o całe niewiernopoddane intrygi.

Hinko powrócił był z Węgier niedawno i zdał się czatować pilno na przybycie Margarety. Nazajutrz zaraz pośpieszył do grodu powitać dawną swą dobrą znajomą i przyjaciółkę Agnes.

Bogaty Pelarz był zawsze u dworu gościem pożądanym.

Agnes, jak wszystkie podżyłe niewiasty, potrzebowała mówić wiele, nie mogąc już nic robić prawie. Narzekanie było dla niej pociechą. Narzekała na losy swoje, swej pani, całego rodu, i na nieszczęśliwe czasy, i na wszystkie klęski, jakie na ród ludzki spadały.

Lat trzy upłynęło, jak szarańcza nawiedziła Czechy, Agnes i o niej jeszcze dotąd zapomnieć nie mogła.

Pelarz, który mówił niezbyt wiele, słuchał za to przykładowie.

Zasiedli we dwoje w izdebce, gdy Margareta modliła się w jednej z kaplic w kościele św. Wita.

Agnes opowiadała naprzód, jak mąż jej pani nagle i nieszczęśliwie życie zakończył, potem, jaki był żal po nim, jak zachorzał jedyny synaczek, na którym spoczywały wszystkie pani jej nadzieje, i jak ten znowu nagłą śmiercią młodą Margaretę do rozpaczny niemal przyprowadził.

Pelarz słuchał tego wszystkiego z zajęciem wielkiem i współczuciem. Dodał, iż na świecie teraz całe lekarzy nie było, coby człowiekowi rądzić mogli, czego dowodem był nieszczęśliwy król Jan, przez nich oślepiiony.

Plakała i lzy ocierała Agnes.

Zgadało się o nowem małżeństwie, tak wstrę-

tliwem młodej wdowie. Pelarz wysłuchał pierwszych zwierzeń i dopiero teraz przerwał uparte milczenie. Półgłosem, cichutko, jako przyjaciel rodu królewskiego, odradzał najmocniej to połączenie.

Agnes powinna była przez miłość dla swojej pani zapobiedz mu, aby Margarety nie uczynić najuieszcześliwszą.

— Bywam często na Węgrzech — rzekł tajemniczo — tam i w Krakowie, gdzie przyjaciomam, nasłuchiłem się dosyć o Polsce, przeszłym i terażniejszym jej królu. Księżna przywykła do innych obyczajów, wyżyćby tam nie mogła. Kraj dziki, prawie bez dróg, rozbojów pełen, lasami zarosły. Niszczą go raz wraz tatarzy, litwa, krzyżacy, ruś, sąsiedni książęta. Miasta są drewniane, wsie, jak szalasy, lud skórami ledwie okryty, głody częste, niedostatek wielki.

Agnes słuchała ręce załamując, żegnając się i wzywając na ratunek patronów świętych.

Pelarz powoli, od słowa do słowa, począł z niechęcią mówić o młodym królu Kaźmirzu.

Wiedział on pewną historję węgierską.

Stara ochmistrzyni zakłęła go, aby ją opowiedział. Naówczas Pelarz, dawszy się prosić i, jak zmuszony, z pięknymi dodatkami własnego pomysłu wyśpiewał całą sprawę Amadejów, czerniąc królowę i jej brata.

Według niego miał to być człowiek dziki, na-

miętności niepohamowanych, rozwiązłości najstraszliwszej. Zresztą, jak on powiadał, obyczaj kraju powszechny, pogański jeszcze, upoważniał do związków niezliczonych, które się jak małżeństwa uważały. Margareta więc miałyby być nie żoną, ale jedną z żon polskiego króla.

Opowiadanie to zgrozą nappełniło staruszkę, a razem wdzięcznością dla człowieka, co jej tak ważne odkrywał tajemnice.

Tegoż dnia pośpieszyła je zwierzyć swej pani, wymieniła źródło. Margareta zażądała usłyszeć to z ust samego Pelarza. Wezwano go potajemnie.

Wahał się on, wypraszał, lecz uległ, a gdy usta mu się rozwiązały, łatwo było biedną wdowę przejąć trwogą i wstręt, jaki miała do nieznanego Kaźmirza, stokroć powiększyć jeszcze.

Ze łzami wypraszała się księżna ojcu i niecierpliwemu bratu swojemu, którzy uczuli łatwo, iż wpływ jakiś złowrogi uporowi jej dodał siły.

Kilka dni tak na łzach, na prośbach, na sporach i naleganiu upłynęło.

Agnes co wieczora już osłabła, i złamaną wolą ojca i brata, Margaretę na nowo pobudzała do uporów. Pelarz nawiedzał ją i oliwy do ognia podlewał.

Lecz walka z ludźmi tak silnej woli i gorącego temperamentu, jakimi byli król Jan i syn jego Karol, dla słabej, znękaney kobiety za ciężką się stała, aby z niej zwyciężko wyjść mogła

Król Jan nalegał gniewnie, groził, los przyszły wdowy zależał od niego. Margrabia Karol wszystkie plotki o Kaźmirzu wysmiewał. Żona jego Biana niewieściami argumentami starała się Margaretę przekonać. Nie dano jej odetchnąć, zmuszono do dania słowa.

Księżna w ostatku przyrzekła być ojcu posłuszną.

Natychmiast wyprawiono poselstwo do Krakowa, a król kazał czynić przygotowania do wesela. Miało ono być najwspanialszem, najwystawniejszem i natychmiast burgrabia Hynek młodszy z Dube, wezwany do króla, otrzymał polecenie, aby w mieście przygotowania czyniono.

Czas wiosenny dobrze się do uroczystości nadawał, która zarazem dworską, ludową i ze współudziałem całego duchowieństwa miała się odbywać.

Gdy Margareta we łzach się rozpływała, na grodzie i w mieście już obmyślano wspaniałości, występy, z jakimi króla polskiego przyjmować miano, witać, zabawiać i obchodzić wesele.

Wielki turniej zapowiadano wcześniej, w rynku starego miasta stoły dla ludu, na zamku ucztę dla polaków, śpiewy skoki i zabawy.

Lecz od tego dnia, gdy na niej wymożono słowo, już się odwołać niedające, biedna Margareta słabnąć zaczęła.

Ojciec osłepły nie mógł dostrzedz na pięknej jej twarzy ani śladów łez, ni wewnętrzznego uci-

sku, brat Karol brał to po mężku i wyrokował, że smutki i postrachy przejdą za przybyciem Kaźmirza.

Chwiejąc się, osłabła, pierwszego dnia po tem wyszła piękna Margareta milcząca, dla obiadowania z rodziną. Ojciec napróżno chciał ją do rozmowy nakłonić, odpowiadała pół słowami. Łzy chwilami wytryskały z jej oczu. Czuła się ofiarą.

Wreszcie usunąwszy się do swych komnat księżna, pozostała w nich do nocy. Agnes kazała się jej położyć, kobiety łożę otoczyły. Jedne z nich grać i śpiewać chciały dla rozrywki, Margareta nakazała milczenie.

Nazajutrz nie wyszła do ojca, przechadzała się od okna do okna z trwogą w nie patrząc, i drżąc na myśl, że straszny ów narzeczony lada chwila przybyć może.

Nie dał się wiadomością o chorobie złamać król Jan, nie chciał zważać na nią. Dopytywał o przygotowania weselne.

Margrabia Karol lekcewał też kobiece dziwactwo.

Zdaniem ich obu, ukazanie się pięknego, młodego, szlachetnego Kaźmirza wszystkie przeciwko niemu powzięte uprzedzenia rozproszyc miało.

Zbliżył się wreszcie dzień przez jednych z taką trwogą, przez innych z taką oczekiwaną niecierpliwością.

Margareta na usilne prośby Bianki i brata

podniosła się z łoża. Męczeństwo zdawało się już nienniknione, postanowiła je znieść z rezygnacją.

Sam na sam ze starą Agnes, która swemi żałami nad jej nieszczęśliwym losem zwiększała jeszcze trwogę, Margareta zapowiadała już rychłą śmierć swoją.

— Nie płacz stara — mówiła do niej — ja długo się męczyć nie będę. Ja się ztąd nie dam wywieść w ich straszne lasy i pustynie, na poniewierkę. na niewolę...

Ja tu umrę.

Agnes za kolana ją ścisnęła, zachodząc się z płaczu i jęków. Nie było ratunku. Król nie dawał mówić sobie nawet o zwłoce wesela dla choroby. Karol niecierpliwił się tylko dziwactwem siostry.

Było li jakie uczucie, wspomnienie, nadzieja, które ten opór i wstręt zwiększały? o tem nie wiedział nikt może, oprócz starej ochmistrzyni.

Piękne lice księżnej bladło i więdło.

— Tem lepiej — odpowiadała, gdy się użalano nad nią. — Znajdzie mnie może brzydką i nie zechce.

Jednego wieczora wreszcie goniec, wysłany naprzód przez Mikulasa z Lipy, wpadł na zamek, oznajmując królowi Janowi przyszłego zięcia przybycie.

Na uroczyste przyjęcie wszystko już gotowem było.

Oślepy król żałował, że sam naprzeciw Kazimirza, choć do miasta, wyjechać nie mógł. Miał go w tem zastąpić syn margrabia Karol, któremu towarzyszył wielki podkomorzy Jędrzych z Lipy, burgrabia Hynek i świetny orszak rycerski.

Dano znać do biskupiego dworu, aby duchowieństwo wystąpiło, aby uderzono we wszystkie po kościołach dzwony.

Gdy z wieścią tą wpadła do Margarety Bianka, biedna księżna zachwiała się i padła na pół zemdlona.

Lecz rozkaz ojca był stanowczy. Dwór cały biegł jej posługiwać do ubrania. Król naglił, aby wyszła strojną ukazać się narzeczonemu.

Rozpaczliwe jakieś męztwo wstąpiło w niewiastę strwożoną i osłabłą. Porwała się z łoża i z brwią namarszczoną rozkazała podawać ubranie.

Było ono wcześniej przygotowanem, a obyczaj ówczesny wymagał, by córka królewska wystąpiła w największym przepychu i blasku. Suknia ze złotogłowu, rąbki jak mgła przejrzyste, ciężkie klejnoty, naszyjniki z drogich kamieni, szeroki i wielki pas złoty, jakie wówczas noszono, purpurowy płaszcz szyty i bramowany, wkładano z kolei na bladą ofiarę, która nie czuć, nie się nie zdawała wiedzieć, co się z nią działo.

Agnes płakała, przypadłszy w kacie, kobiety

biegały przypinając, wiążąc, nakładając na ręce bezwładne bogate kolce.

W tem na mieście ozwały się dzwony, Margareta się zachwiała, służebne musiały ją podtrzymać, by nie padła.

Na zamku słychać było tentent koni i szczęk zbroi żelaznych. Margrabia Karol, cały odziany w błyszczącą stal wyzlaczaną, z ogromnym pióropuszem skrzydlatym na helmie, wyruszał z podwórców.

Król Kaźmirz, z promienistą, wesolą twarzą, odmłodzoną tą chwilą szczęścia spodziewanego, wjeżdżał do złotej Pragi, witany okrzykami niezliczonych ludu tłumów.

Wspaniale roztaczał się ów orszak polski, kapiący od złota, złożony z ludzi olbrzymiego wzrostu, pięknie dobranych twarzy, we wspaniałych strojach, we zbrojach wykwintnych, z tarczami na prawem ręk, na których topory, podkowy, księżyce, gryfy i lwy malowane widać było.

Kaźmirz jechał na białym koniu oponą szkarłatną okrytym, na którym orły perłami szyte świeciły. Szyszak jego, obwiedziony koroną, miał też orla, zrywającego się do lotu, na szczycie. Otaczali go mężowie sędziwi, młodzież piękna, lud doborowy i liczny.

Trąby hucznie zwiastowały przybycie. Przez ulice miasta zaledwie przecisnąć się można było,

pod grodem czekał biskup Jan z Drażic, błogosławiąc i wiodąc na gród gościa.

W wielkiej sali dolnej stał zadumany król Jan, synowa jego Bianka, i błąda, jak trup, chwiejąca się Margareta. Król posepny był, dochodziły go odgłosy, ale tego blasku, do którego nawykł był, nie widział. Smutek go ogarniał w tych ciemnościach.

Myliła się księżna, gdy bledniejąc i wędnąc sądziła, iż się tem brzydszą uczyni. Piękność jej, czystość rysów marmurowych, płomień oczu czarnych, podniosły się, spotęgowane boleścią. Nie był to może wdzięk, wedle pospolitego pojęcia owych wieków, wymagających od kobiety świeżości, zdrowia, rozkwitu bujnego. Margareta była bladym cieniem, lecz jakby anielskim jakimś i nieziemskim zjawiskiem.

Smutek i ból, rozlany na jej twarzy, pociągał ku niej litością i współczuciem.

Stała tak, jak ofiara oczekująca kata, gdy przed oknami sali przesunął się orszak, w dziedzińcu powstał zgiełk, Kaźmirz przybywał z Karolem.

Bianka obawiała się o nią i zbliżyła, aby w potrzebie podać jej rękę pomocną. Lecz stało się, czego ona przewidzieć nie mogła, osłabła Margareta nagle drgnęła, odżyła, uczuła się dumną córką królewską, odzyskała siłę całą.

Stała blada, mężna, śmiała, patrząc gorączkowo otwartemi oczyma na wchodzących.

Wzrok jej padł i zatrzymał się na Kaźmirzu, który szedł szczęśliwy i rozradowany, jej szukając oczami. Odgadł ją pewnie, lecz wejrzenie, którem go powitała, raziło, jak cios w piersi wymierzony. Kaźmirz drgnął i zawahał się, idąc na powitanie króla Jana. Trwało to zaledwie oka mgnienie, żywiej jeszcze posunął się ku niemu.

Margareta spuściła oczy.

Nie widziała już nic. Kazano jej podać rękę narzeczonemu. Wyciągnęła ją zimną i martwą. Mówił coś do niej, nie słyszała. Stał przy niej, nie spojrzała na niego.

Do koła gwar był wielki i wołanie.

Na dany znak wszyscy ruszyli do zastawionych stołów i przy pierwszym z nich, obok ojca, posadzono przyszłych nowożeńców. Margareta usiadła, ciągle oczy trzymając spuszczone. Słyszała szept jakiś, ale ust nie poruszyła.

Margrabia Karol pochylił się do ucha przybyłemu.

— Margareta była trochę chorą — szepnął mu — nie zważajcie na jej trwogę. Obyczaj to kobiecy, drożyć się z sobą i udawać smutne, gdy są najszczęśliwsze.

Kaźmirz też był pełen najśłodszych nadziei, nie zawiedziono go, królowna wydawała mu się cudnie piękną...

Nazajutrz nikt już bladej nie widział Margarety. Obojętnie dosyć król Jan kazał oznajmić Kaźmierzowi, że księżna trochę się czuła niezdrową, lekarz jej nakazał spoczynek.

Dnia tego wcale się ukazać nie miała. Strwożył się król nieco. Kochana wyprawił na zwiady. Ten miał tu licznych przyjaciół i znajomych, a nawet powinowatych. Przebiegły i zręczny, zresztą wszędzie indziej byłby zarówno umiał znaleźć drogę i dostać języka.

Na dworze miał niewiast kilka, do których się dawniej zalecał, bo Rawa miał w obyczaju zawsze i wszędzie szukać niewiast, coby się na jego piękności poznać umiały.

W orszaku księżnej była piękna Zytka, z którą się już dawniej spotykał. Poszedł szukać jej po dworze. Gościnnie wszystkich towarzyszków króla przyjmowano, łatwo mu się więc było o Zytkę dowiedzieć. Wyszła przeciwko niemu wyzwana z na pół smętną, pół uradowaną twarzą, iż dawny wielbiciel tak pilno ją sobie przypomniął.

Zręczny Kochan począł od spowiadania się z tęsknicy swojej, od oświadczeń radości, iż znowu ją zobaczył.

Zytka, bardzo zalotnie wywijając kibicią, już nieco ociężała, i rzucając figlarnemi oczyma, dzierżowała uśmiechem.

Nie dowierzała zdradliwemu mężczyźnie.

Żarcikami swawolnemi zawiązała się rozmowa.

Kochan zamawiał ją w tany na przyszłe uroczystości, drożyła się nieco.

— Myśmy do was tu na wesele przybyli, a wy nas przyjmujecie coś kwaśną twarzą i chorobą.

Zytka głową potrząsała, poprawiając trefione włosy.

— Księżna nie w porę zachorowała — dodał Kochan — ale nie straszna to być musi choroba.

Trudno było z dziewczyny dobyć słowo, oglądała się dokoła ostrożnie, ludzi dużo przesuwano się, podsłuchiwało i chciało mieszać do rozmowy.

Kochan poszedł za nią do komnat na dole, gdzie pod ten czas nikogo z kobiet nie było.

— Jakesz na mnie łaskawa, powiedzże mi, co tu się u was dzieje? choroba prawdziwa, czy zmyślona?

— Naprzód, kto wam powiedział, że ja na was łaskawa? — odparło dziewczę, niby obrażone.

Lecz gniew nie trwał długo, Kochan zbliżka się przysuwał bardzo. Chłopiec był ładny i wszyscy wiedzieli iż miał łaskę u króla.

— Księżna już od dawna chora — poczęła nareszcie rozdobruchana Zytka. — Nie może zapomnieć nieboszczyka... Straciła dziecię.

— Cóż znowu — w żarty to obracając odezwał się Kochan. — Za umarłego żywego mieć będzie, a i dziecięcia nie poczeka długo.

Dziewczyna odwróciła się nadąsana, musiał

przebłagiwać znowu. Lecz nie szło mu to trudno. Zytka opowiadać zaczęła.

— Boją bo się was tutaj bardzo — rzekła. — Wiemy, jacy wy jesteście i co u was kobieta, choćby i królowa, znaczy.

— Przecieżemy nie wilcy i nie zjadamy ich — odparł śmiejąc się Kochan — bo gdybyśmy je pożerali, jabym was pierwszą zjadł, tak mi jesteście do smaku.

Zytka się śmiała. Pochlebstwo, w jakimkolwiek bądź kształcie, choćby niezręcznie podane, pewien skutek wywiera. Dziewczyna, która z początku drożyła się z sobą, zaczęła być coraz miłszą dla Kochana. Patrzała nań, uśmiechała się wyzywająco, nie wyrywała rąk, nie gniewała się, gdy ją, w imię dawnej znajomości, w pół obejmował. Znajdowała, że niewieścią cześć dostatecznie uchroniła, nie poddając się od razu. Usiedli przy sobie na ławie.

Kochan rozpoczął zaraz badanie na nowo.

— Co to jest królewnie?

Milczenie, poprzedzające odpowiedź, zapowiadało, że nie przychodziła ona łatwo.

— Królewna! — szepnęła Zytka, spuszczać oczy — ona, ona bo zamaż iść nie chce. Owdowiła niedawno, a — na waszego króla straszne tu rzeczy rozpowiadają.

— Kto? co? — zawołał oburzony Kochan — to są potwarze!...

Zytka, umiejąca podsłuchiwać bardzo zręcznie, wiedziała o historyi Amadejów, którą stara Agnes po cichu rozpowiadała.

— Potwarze! — rzekła wznosząc oczy na towarzysza — no, a ta krwawa sprawa z Amadejówną!

— Kłamstwo! — krzyknął Kochan, burząc się. — Król nasz nie winien!

Zytka mówić mu nie dała.

— Nie wiem — rzekła pośpiesznie — ale tu na dworze wasz pan ma nieprzyjaciół. Nastroiłi Margaretę przeciwko niemu, z tych wszystko, z tych i choroba...

Kochan się zachmurzył.

— Mocno chora? doprawdy chora? — zapytał.

— Chora i nie od wczorajszego dnia, ale od tego czasu, jak ojcu dać słowo musiała...

— A cóż będzie z weselem? — spytał Kochan.

— Pewnie poczekać na nie musicie — westchnęło dziewczę.

Rawa udać musiał, że mu szło o wesele to i skoki dla samego siebie tylko. Wzdychał, przybliżając się do dziewczęcia.

Wybadał z niego usposobienie starej Agnes, nawet źródło historyi Amadejów u Pelarza. Zamówił sobie, gdzieby mógł się spotkać znowu, i poszedł do króla.

Lecz Kaźmirza już nie zastał w jego mieszkaniu: troskliwy o zabawienie gościa margrabia wziął go z sobą, aby się przypatrzył przygotowaniom do turnieju.

O naznaczeniu dnia wesela, które Kaźmirz chciał przyspieszyć, rozmówiono się krótko. Samowolny król stary, nie zważając na córki chorobę, chciał je koniecznie w dniu św. Małgorzaty, imiennym księżnej, odprawić. Pozostało dosyć czasu, aby się przygotować, przekonać i ozdrowieć mogła.

Kaźmirz musiał przyjąć postanowienie przyszłego teścia i czekać św. Małgorzaty. Tymczasem nie szczędzono nic, aby koronowanego gościa i towarzyszków jego zabawić.

Miasto przybrało świąteczną powierzchowność. W rynku ustawiono stoły dla ludu, muzyki grały na gankach wież i bramach. Począty świetne przeciągały ulicami. Na zamku miała być uczta i turnieje, wieczorem śpiewy i tany.

Tego wymagał obyczaj dla gościa, choć choroba Małgorzaty wszystkim chmurzyła oblicza. Nie miała ona jeszcze groźnego charakteru i spodziewał się król, że wypoczynek, uspokojenie, jutro pozwolią księżnie ukazać się na pokojach.

Kaźmirz, zmuszony udawać wesele, niespokojnym był mocno. Gdy się nie zmuszał do okazywania radości, nagle stawał zadumany i jak

kamienny. Napróżno margrabia Karol usiłował go rozerwać.

Plac do turnieju obwiedziony już był sznurami, sędziowie wybrani, tarcze mających się spotykać powywieszane. Oba z margrabią obeszli go, wiodąc za sobą nieodstępny dwór, ale król polski zdawał się mało zajmować rycerską tą zabawą. Wrócili wkrótce oba do mieszkań margrabiego, gdzie sam na sam spocząć i rozmówić się mogli. Kaźmirz żądał tej rozmowy.

Karol żywy i niecierpliwy, który z trudnością usiedzieć mógł w miejscu i na chwilę pozostać bezczynnym, wprowadziwszy Kaźmirza do izby, którą zajmował na zamku, siadł zaraz i według nałogu, jaki miał od dzieciństwa, chwycił do rąk kawał drzewa, który nożem zapalczywie obrabiać począł.

Była to jego ulubiona, nawet przy gościach, zabawa. Pierwszy lepszy kij, lub kawałek drewna służył mu do rzeźbienia często pociesznych postaci i dziwacznych figurek.

Kaźmirz patrzył nań z podziwieniem, twarz jego teraz, gdy sami zostali, smutkiem się oblekła.

— Margrabio mój, bracie serdeczny — rzekł z wywnętrzeniem, którego potrzebował. — Ty wiesz, jak mi drogie jest połączenie się z rodem waszym. Pragnąłem go, nie widząc Margarety, dziś, gdym ją zobaczył, mocniej jeszcze pożądam szczęścia tego... Lecz... księżna...

Karol podniósł prędko oczy, nad robotą około sękowatego kija spuszczone.

— Czyż kobiet nie znasz? — odezwał się. — Mają one swe dziwactwa, mają słabostki, wiele im pobłażać należy. Margareta niedawno straciła dziecię.

Miej cierpliwość.

— Pragnąłbym widzieć się, pomówić — rzekł Kaźmirz. — Mieć może uprzedzenia, ludzie są złośliwi, możebym potrafił uspokoić ją. Wszak nie jest tak chorą?

Karol, nie rzucając roboty, podszedł ku drzwiom i marszałka swego wprost do siostry wyprawił, oznajmując odwiedziny narzeczonego.

Tu wcale się ich nie spodziewano, księżna nie była ubrana, leżała w łóżku, siedziała przy niej stara Agnes. Gdy nadeszły nie prośby, ale rozkazy, musiano co najprędzej przystroić księżnę, którą to natręctwo Kaźmirza rozgniewało. Nie mówiąc nic, ale wejrzeniem piorunującym zmierzwszy posłankę, która jej wolę brata przyniosła, dozwoliła się przybrać, jak chciano.

Naprawdę dobyto suknie, zawiązano włosy, przyniesiono klejnoty. Księżna ubierać się dała, nie objawiając woli żadnej, nie chcąc uczynić wyboru. Zamiast potem usiąść w krześle dla przyjęcia króla, jak była ustrojona położyła się na łóżku, sparta na białej ręce, i niema a gniewna czekała.

Margrabia Karol prowadził bladego Kaźmirza z sobą. Dwór Margarety, który otaczał jej łożę, odprawiono do przyległej komnaty. Kaźmirz zajął miejsce naprzeciw narzeczonej. Gotowe już były kosztowne dary, które wiozł dla Margarety. Niesiono je za nim. Szczęściu młodych chłopaków, dobranych wzrostem i urodą, w kaftanach szkarłatnych, na których piastowskie orły białe były wyszyte, nieśli kute skrzynki z klejnotami, potwierane już tak, aby wewnątrz nich leżące kosztowności widzieć było można.

Z rąk pierwszego z nich Kaźmirz wziął sam najpiękniejszą skrzynkę i z uśmiechem złożył ją u nóg księżnej. Chłopaki przyklękając przed nią, z kolei stawiali przyniesione dary.

Wszystko to nie wyglądało tak barbarzyńsko, tak nbogo, jak księżnie opowiadano. Z pewnem zdumieniem, drżąc, nie mówiąc nic, patrzała na klejnoty.

W istocie były one królowej godne. Z wnętrza skrzynek, wybitych jedwabnemi tkaninami, połykiwały w ciężkich oprawach, na których wiły się emaliowane ozdoby, ogromne rubiny, szafiry, ametysty, szmaragdy, perły dziwnych kształtów, to białe, to różowo zabarwiane...

Wszystko to jednak zaledwie potrafiło zwrócić roztargnione księżnej oko. Skłoniła głowę z lekka na znak niemego podziękowania, lecz

nie okazała radości, nie odezwała się ani słowem, nie poruszyła ku nim ręki.

Margrabia Karol, dobywszy pas ze skrzynki, rzucił go jej na kolana, żartobliwie twierdząc, iż przepasanie nim uzdrowić ją miało. Klejnot zsunął się z nich i padł z łoskotem na ziemię.

Nie podniósł go nikt.

Każmirz, widząc tak jawną obojętność, rumienił się i blednął.

Margrabiemu zdało się, że najlepszym sposobem zbliżenia narzeczonych będzie zostawienie ich sam na sam z sobą. Usunął się więc w drngi koniec obszernej komnaty ku oknu, z którego ożywione świetnym dworem podwórze w świetle majowego poranka widać było.

Po odejściu brata, raz pierwszy oczy Margarety podniosły się na Kaźmirza, trafiły właśnie na chwilę, w której król, dotknięty w swej dumie, siedział zasepiony i groźny.

Oko księżnej, choć nie było łagodnem, zmieniło jednym wejrzeniem jego usposobienie.

Pochylił się, zapytując ją o zdrowie.

Księżna pomyślała nad odpowiedzią, usta się jej poruszyły i wyrazem ostrym odparła.

— Jestem chora, widzicie to sami. Będę chorą — dodała. — Sądzę, że wam potrzebaby innej żony... Ze mną smutek do domu weźmiecie...

— Mam nadzieję, że znajdą się u mnie środki

rozproszenia go — rzekł Kaźmirz. — Wszystko, co wam może być przyjemnem.

— Mnie już nic przyjemnem nie jest — sucho przerwała księżna.

— Pozwólcie mi mieć nadzieję, że się to zmieni — rzekł król.

— To się zmienić nie może — odparła Margareta.

Słowom tym odpychające towarzyszyło wejście. Kaźmirz zarumienił się, lecz pozostał panem siebie.

— Być może — odezwał się po chwili — iż mnie i królestwo moje nieprzyjaciele źle wam odmalowali i że ztąd powstał wstręt jakiś do mnie. Przekonacie się, że ludzie kłamią.

Księżna dumnie głową potrząsała, nogą, przy której leżał pas złoty, upadły na ziemię, popchnęła go niecierpliwie.

Zapatrzyła się w okno, umyślnie unikając spotkać króla oczy, które w nią były wlepione.

— Bywaliście na Węgrzech! — odezwała się z wyrazem przekąsu jakiegoś Margareta. — Mówią, że tam są niewiasty piękne bardzo. Dwór królowej Elżbiety obfitować w nie musi?

Kaźmirz zrozumiał przymówkę, rnszył ramionami pogardliwie i usiłował się uśmiechnąć.

— Jednakże — przerwał — piękniejszej nad was nie widziałem w życiu ani na węgierskiem, ni na żadnym dworze.

Królowna odpowiedziała na tę grzeczność bladym uśmiechem szyderskim.

— Miałabym wam przypominać kogo? — odparła złośliwie.

Każmirz, którego twarz za każdym takim pociskiem krew oblewała, starał się zachować spokój.

— Wasza miłość — rzekła — nie macie ani sobie podobnych, ni sobie równych

— Od francuzkich trubadurów uczyliście się grzeczności dla niewiast — odezwała się Margareta. — Wybaczcie mi, lecz sądzę, że królowi lepiejby szczerłość przystała.

Król namarszczył brwi, poruszony był mocno, żal i ból zabrzmiały w głosie jego.

— Pani moja — rzekł — jestem szczerym mówiąc wam, że w was położyłem jedyne szczęścia mojego nadzieje. Litościwsza chciej być dla mnie. Mogę was zapewnić, że nawzajem o wasze szczęście starać się będę życiem całym.

To mówiąc, wstał król, a Margrabia usłyszawszy to poruszenie jego, zbliżył się do rozmawiających.

— Zostawmy Margaretę w spokoju — rzekł, spierając się na poręczy jej krzesła — niech co prędzej stara się siły odzyskać, aby w dzień swej świętej patronki gotową była podać wam rękę... bo król, ojciec nasz, dzień ten naznaczył... Wola jego, dodał z naciskiem, spełnić się musi.

Margareta podniosła oczy na brata, odpowiadając mu tylko wejrzeniem gniewnem.

Król żegnał ją, żądał ręki. Zawahawszy się, podała mu księżna białą, wąską, wychudzoną, zimną, z widocznym przymusem i wstrętem. Za ledwie pocałunek złożył na niej i odwrócił się, spiesźnie otarła ją o suknię. Margrabia Karol dostrzegł to tylko i ramionami poruszył...

Nie dano dnia tego do nocy odpoczynku królowi. Cekał nań król Jan i uczył z trefnisiemi u stołu, potem pochód po ulicach miasta dla widzenia go, przyjęcie w biskupim dworze, turnieje i gonitwy, wieczorna biesiada i opowiadania o rycerstwie we Francji i Włoszech... Późno już powrócił Kaźmirz do izb mu przeznaczonych.

Tu oprócz dworu i starszyny, którą odprawił zaraz, stał już oczekujący nań Kochan. Pilno było królowi rozmówić się z powiernikiem. Ten nadrabiał wesołą niby twarzą, nie chcąc dać znać po sobie, ile przykrych wiadomości w ciągu dnia tego dostało się do jego uszów.

Miedzy innemi, chytry Pelarz pospieszył do Kochana, pod pozorem swych stosunków z Węgrami i laskawości, jaką mu okazywała królowa Elżbieta, szukając sposobności pokłonenia się jej bratu. W istocie szło mu o to, by się wywiedziało o usposobieniach, a może sprawił, co mu poleceno.

Kochan się w nim cale nie domyślał zdrady.

Pelarz wyśmienicie grał rolę gorliwego sługi rodu Kaźmirzowego, przyjaciela i doradcy.

Z cicha począł ubolewać nad Kaźmirzem, który, według niego, wart był lepszego losu, a nie chorej i sinutnej wdowy, niechętniej dlań, którą mu narzucano.

— Wasz król najchętniejby zrobił — 'dodał — gdyby ślub ten odłożyć się starał. Choćby wykupić się od niego przyszło królowi Janowi! Żona ta szczęścia mu nie przyniesie.

Kochan milczący słuchał.

— Zapóźna to rada — rzekł po namyśle — gdyśmy na wesele przybyli. Wino utoczone wypić potrzeba.

— Ja znam — wtrącił Pelarz — przysłowie, które powiada, że między czarą a ustami, przestrzeń jest wielka.

Długo tak zabawiał i starał się coś z Kochana dobyć, zręczny człęk, lecz widząc, że dworak usta ma zamknięte i piersi zapięte, opuścił go, oświadczając się tylko z miłością wielką.

Przez cały dzień tak Kochan z różnych stron napawał się nie bardzo smaczными wieściami. Ku wieczorowi Zytka oznajmiła mu, że księżna czuła się gorzej.

Przejęta dreszczami nagłemi, musiała się położyć w łóżko.

Na zapytanie więc królewskie, co słychać, dworak ruszeniem ramion odpowiedział.

Król też znękany był i smutny, a przynieść mu pociechy, nie było zkad. Kochan poczał żywo pleść, że czas wszystko zmienić może i że rozpaczać nie trzeba.

— Więc i ty widzisz powody dla którychby można się trapić? — odparł król. — Nieprawdaż? Nie kusić się nam, a raczej mnie!! Przepowiednia tej starej czarownicy na myśl mi powraca.

Zadumany spuścił ręce, zwiesił głowę.

— Nic jeszcze nie ma straconego — rzekł, dodając sobie męztwa. — Byleby raz ślub wziąć, a królowę zawieść do Krakowa, rozproszą się te jej smutki.

— Ale czy nie lepiejby — wtrącił nieśmiało ulubieniec — odłożyć te ślubowiny, nie nagić? Dać jej czas.

Król strzepnął rękami.

— Dzień jest naznaczony — zawołał — stoją przy nim, nieodstąpią od niego. Księżna jest jak anioł piękna, miłuję ją, musi być moją!!

Wyrwały mu się wyrazy te z taką siłą, iż Kochan zamilknąć musiał.

Nazajutrz ponowiły się turnieje, a księżna była słabą ciagle. Królewski lekarz siedział przy niej. Nie przewidywano jednak nic złego. Zabawy były tem huczniejsze, iż król Jan chciał niemi w początku zatrzeć smutne wrażenie, jakie słabość córki wywierała.

Polski król spokój wielki udawać musiał, ale nie miał go w duszy.

Doniesienia Kochana, który w ciągu dnia umiał, pod pozorami różnemi, zbliżać się do niego i szepnąć potajemnie słowa, coraz były bardziej zatrważające.

Choroba zdawała się rosnać i stawać groźniejszą. Na dworze jeszcze o tem mówić nie było wolno. Lecz z twarzy Margrabiego Karola i żony jego Bianki widać było frasunek i strapienie, troskliwie tajone.

Następnego dnia Margareta była już prawie bezprzytomną, a lekarz przestraszony zwiastował drżącym głosem królowi, iż środki jego były wyczerpane, że niebezpieczeństwo groziło wielkie, w końcu, iż należało zwrócić się tam z prośbą, gdzie jest wszelka moc i siła, z kąd płynie życie i przychodzi śmierć: do modlitwy, do Boga.

Król Jan, który od utraty wzroku stał się naboźniejszym, niż był w ciągu życia, zadrżał i ręce załamał.

Kazał się zaprowadzić do łóża córki, niepoznała go.

Margrabia Karol z twarzą zmienioną przyszedł Kaźmirzowi zwiastować smutną nowinę.

Król, który nie przypuszczał, aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagrażać mogło Margarecie, stanął oniemiały z rozpacz i boleści. Ręce załamał i zakrył wnet twarz niemi.

— Jestem najnieszczęśliwszy z ludzi! — zawołał — O mój Boże! jakże karzesz mnie srogo za grzechy moje!

Napróżno margrabia Karol uspokoić się go starał.

Dnia tego zabawy, igrzyska, gonitwy, wszystko zostało przerwane. Cisza głucha, złowroga, zapanaowała na dworze.

Biskup Jan z Drażic przybył z Nowego Miasta do króla ofiarując się z całym duchowieństwem, czternastodniowym nabożeństwem, z processjami, z wystawieniem relikwii, błagać Boga o odwrócenie ciosu, który królewskiej zagrażał rodzinie.

Rozkazy były już wydane, po wszystkich kościołach odzywały się dzwony; nagle, wesołe wczoraj miasto okryła żałoba. Lud począł się cisnąć do krążganków kaplic i kościołów.

Duchowieństwo z chorągwiami i krzyżami, długimi sznury, śpiewając pieśni, wyciągało już z Wyszehradu, od Ś. Wita, P. Maryi, Ś. Mikołaja.

Każmirz z całym dworem swoim pieszo udał się do zamkowego kościoła, wysławszy znaczną sumę dla zakupienia nabożeństwa.

Trwoga niewysłowiona ogarnęła wszystkich. Przychodziło to nagle, i z wesołości wczorajszej przejście do błagalnych modlitw było tak szybkie, iż wrażenie uczyniło potężne. Ludzie widzieli w tem znowu jakiś palec boży, karę za grzechy

starego ślepeca, który tyle w żywocie swoim nabroił.

Lekarze zwołani najmniejszej już nie czynili nadziei. Gorączka nie rzucając na chwilę chorej, rosła i wzmagala się. Nie poznawała ludzi, mówiła, płakała, krzyczała, zrywając się i żaląc, a wspomnienia przeszłości i terażniejszość tak się mieszały w jej głowic, iż mąż umarły, narzeczony, dziecię, historja Amadejówny, obrazy męczeństwa groźnego plątały się w niedokończonych wykrzykach, które służbę żeńską, zgromadzoną przy łożu, niemal też o szaleństwo przyprawiały.

Po takich wybuchach następowało osłabienie, zaniemienie, i życie uchodzić się zdawało, by natychmiast znów powrócić odgłosem boleści.

Wypadek ten, nawet na dworze tak karnym i do ładu wdrożonym, jakim był króla Jana, wywołał nieład i zamieszanie. Ślepy król na przemiany burzył się gniewem, i niemy, sparty na rękach, pograżał się w myślach dręczących. Sumienie wyrzucało mu, iż uporem swym spowodził chorobę, miał być może przyczyną śmierci córki.

Przy Kaźmirzu jeden teraz margrabia Karol pozostał na straży. Starał się go pocieszać.

Choroba przesilić się mogła.

Modlitwy duchowieństwa, śluby, procesje, re-

likwie świętych na pomoc wezwane, nie mogły być nadaremne.

W istocie rozkaz biskupa, przykład zakonów, które natychmiast rozpoczęły nieustające błagalne nabożeństwa, poruszył całą tę ludność, która zbiegła się do miasta dla oglądania wesela, a trafiała na grozę żałoby.

Napełniały się świątynie wszystkie, dzwony biły, szerząc jeszcze niepokój i trwogę.

Gdy około łoża chorej z margrabiną Białką cały dwór niewieści się skupiał, a na stołach około chorej rozkładano przyniesione z kościołów relikwie, Kaźmierz siedział większą część dnia sam na sam, lub razem z milczącym ojcem bolejąc.

Myśl ta, prześladowająca go, iż straszna przepowiednia ziścić się miała, przejmowała zabobonną niemal trwogą do głębi duszy. Los prześladował go. W uszach brzmiało mściwe, straszne, niezapomniane owe Amadejów nazwisko.

Kochan, który stał na straży, nie śmiał się odzywać, patrzył tylko i czekał. Lecz napróżno. Król nie widział nikogo, tak był zatopiony w sobie.

Wielka radość, nadzieje, z którymi jechał spiesząc tu, wszystko jedna chwila jakaś nieszczęsna zgruchotała.

Niekiedy przybiegali ludzie z lepszemi i pocieszającemi wieściami. Królowna spoczywała, usypiała, choroba obiecywała się przesilić. Nawczas nadzieja wstępowała w serce.

Bóg się zlitował, modlitwy były wysłuchane. Trochę spokoju przynosiło ulgę. Król Jan przysłał od siebie, przychodził Margrabia, zbiegali się posłańcy.

Wszyscy zdawali się odżywać.

Lecz trwało to krótko; następnych dni wybuchy gorączki wprawdzie ustały, gwałtowność ich się zmniejszyła, osłabienie jednak wzrastało. Siły się wyczerpywały, lekarze nie wróżyli nic dobrego.

Nabożeństwa nieustawały.

Pomimo, że mu to odradzano i nie bardzo dopuścić chciano odwiedzin chorej Margarety, aby widok jej tem większego na królu nie zrobił wrażenia, Kaźmirz dopominał się o to jako narzeczony, żądał tak uparcie, tak natarczywie, iż margrabina Bianka poprowadziła go z sobą.

W ciemnej z osłoniętymi oknami, niskiej, sklepionej komnacie, którą lampki palące się przed obrazami i trochę światła przedzierającego się przez opony słabo rozjaśniały, na łożu otoczonem przez kobiety klęczące i stojące do koła, spoczywała blada księżna, której cierpicie wewnętrzne niekiedy gwałtownymi ruchami i zmiany twarzy się zdradzało. Oczy jej to się otwierały i nieruchomie wlepione patrzyły nie widząc, to zamykały, jakby usypiała. Lecz sen ten nie był spokojem. Rzucała się niespokojnie, białemi rę-

kami konwulsyjnie chwytając okrycia, które kobiety co chwila poprawiać musiały.

Blade jej oblicze było jeszcze tak szlachetnie pięknem jak dawniej, lecz cierpienie nadawało mu wyraz litość obudzający.

Jeden z duchownych dworskich siedział u łóżka, odmawiając modlitwy, może oczekując na chwilę, w której umysł chorej odzyskałby przytomność.

W cichości zbliżył się Kaźmirz, idący za Bianką, aż do łóża samego. Chora, jakby uczuła przytomność jego, otworzyła oczy szeroko, z ust dobył się słaby głos, i gwałtownie odwróciła się na drugą stronę łóża.

Kaźmirz zbladł.

Stali tak, oczekując jakiejś oznaki pocieszającej. Bianka rozpytywała kobiety, które za całą odpowiedź płakały...

Wkrótce potem stłumiony głos chorej dał się słyszeć. — Wołała jak zdyszana, przerywanemi wyrazy:

— Nie chcę — nie chcę — zdejmcie mi pierścień — dary odnieście... Tu umrę, nie powiozą mnie... krew... krew...

Na królu czyniło to wrażenie tak silne, iż po chwili ustąpić musiał.. Wyszedł ztąd oślepty, ogłuszony, z oczyma zamglonemi, z sercem ściśniętem.

Nie mówiąc do nikogo, powłókł się zamknąć w swych izbach...

Wieczorem z orszakiem całym udał się na nabożeństwo do ołtarza ŚŚ. Stanisława i Oswalda w kościele Ś. Wita. Królewską ofiarę złożył dla duchownych, którzy błagalne litanje odśpiewali.

Nastąpiła noc — noc milcząca, ale bezsenna dla wszystkich na zamku. Król Jan siedział, co chwila posyłając dowiedzieć się o zdrowie córki. Kaźmirzowi przynosił wieści Kochan. Margrabia Karol przychodził go pocieszać. Po wszystkich kościołach paliły się światła i odprawiały nabożeństwa...

Nazajutrz dzień był Ś. Zofji, piękny, jasny, majowy dzień, słoneczny, lecz o słońca wschodzie uderzyły wszystkie dzwony na Starej i Nowej Pradze, na Wyszehradzie, na Grodzie, uderzyły jękiem żałobnym.

Księżna Margareta — nie żyła.

Do ostatniej chwili przerażony ojciec, zboleły ów narzeczony, mieli jakąś nadzieję cudu.

Gdy straszna wiadomość o śmierci księżnej rozeszła się po zamku, i płacz niewiast, całego dworu, czeladzi, zwiastował ją — król Jan padł na kolana łkając. Syn podnieść musiał ojca...

— Prowadźcie mnie do niego — zawołał, przemagając ból — on także, jak ja, ten cios czuć musi...

Prawie razem z wiadomością o zgonie Margarety, ojciec jej i brat weszli do izby, w której Kaźmirz rozpaczał.

Rzucił się on do kolan starca, łkając i rozgorączkowany...

— Ty, — którego ja ojcem mym już zwałem — odezwał się — i którego i teraz ojcem mieć chcę, ty jeden pojmiesz boleść moją.

Nie ma Margarety! a z nią poszły wszystkie nadzieje, całe szczęście moje, cała przyszłość rodu mojego!

Sami zboleli i rozłzawieni, stary król, syn jego i Kaźmirz, ściskać się i obejmować zaczęli.

Margrabia ze wszystkich najwięcej zachował spokoju i pomiarkowania w rozpacz. I jemu żal było tego ślicznego kwiatu, ściętego na młodej łodydze, lecz życia wymagania powoływały go. On tu jeden miał przytomność jeszcze...

Stary Jan, ten rycerz nieulekniony, który nieraz na śmierć się narażał z heroiczną odwagą, złamany był — bezsilny. Kaźmirz, w kwiecie wieku, ale już tyle przeżywszy i przecierpiawszy, ugiął się pod tym ciosem, nie tylko strać narzeczoną, ale wróżbę złą w tem upatrując dla siebie. Mimowolnie przychodziło mu to na usta...

— Ojciec mój, — wołał, obejmując starca jęczącego, — ojciec mój — uzał się nademną. Niezasłużone jakieś przekleństwo wisi nad głową moją — zginąć więc muszę ostatni z rodu, a państwo moje pójść w obce ręce...

— Nie — odparł stary Jan, którego syn zmusił usiąść, bojąc się, aby mu sił po bezsenności

i cierpieniach nie zabrakło — nie! Nazwałeś mnie ojcem, chciałem ci nim być — dać własną córkę — Bóg moje najlepsze chęci zniweczył, lecz nie wyrzeknę się ani tytułu tego, ani jego obowiązków.

Wtem margrabia Karol wtrącił:

— Bracie mój, bo i ja nie wyrzekam się braterstwa z tobą — daj słusznemu żalowi przeminać... Ja i król, ojciec mój, będziemy się starać wyszukać ci żony... Ożenim cię... zadasz kłam przepowiedniom nierozsądnym i złośliwym... Nie dopuścim tego, aby królestwo twoje...

Stary Jan począł w tej chwili żywo:

— Dobrze mówi — Karol... niech nas ta wspólna boleść połączy, poprzysięgnijmy sobie braterstwo... Ja i Karol wyszukamy ci małżonki.

Kaźmirz chwycił rękę Jana.

— A ja na pamięć tej drogiej zmarłej, której mi nikt nie zastąpi, przysięgam Wam, że z ręki Waszej przyjmę narzeczoną, jaką mi dacie... Ona będzie nowym węzłem między mną a wami...

Tak, przy zaledwie ostygłych zwłokach, już Margrabia Karol rzucił myśl dla polityki swej potrzebną, i mającą związek pomiędzy Polską a Luksemburczykami utrzymać.

Kaźmirz przyjął ją ze ślepem zaufaniem, pod ciężarem przepowiedni i trwogi zejścia bezpotomnym.

Córka, którą mu zostawiła Aldona, nie mogła

wziąć na skronie korony tej, której obrona mężkiej potrzebowała dłoni...

Z równie wielkim żalem, jak przed chwilą radość była — pogrzebowe odbyły się obrządki. Kaźmirz pozostał, aby zwłoki narzeczonej odprowadzić do grobu królewskiego na Zbrasławiu.

Ponowiono jeszcze po smutnym obrzędzie za pewnienia przymierza i nierozerwanej przyjaźni, a Jan i Karol zobowiązali się uroczyście wynaleść dla króla nową narzeczoną — którą on z ich rąk przyjąć miał bez wyboru.

Pożegnanie było uroczyste i najczulsze, lecz orszak polski, który z tryumfem, weseleniem i wrzawą wjeżdżał do złotej Pragi, wyciągnął z niej rankiem, po cichu, przeprowadzony przez Margrabiego Karola — odziany żałobą i smutny.

Król Kaźmirz we wszystkich litość obudzał. Wprawdzie po przemożeniu pierwszego wybuchu rozpacz, odzyskał on męstwo i siłę ducha, lecz głęboki smutek czynił go martwym na wszystko.

Jechał, dając się prowadzić — nie okazując niczem zajęcia — zobojętniały i pogrążony w sobie.

Takim na pierwszym noclegu na czeskiej ziemi — wieczorem, znalazł go ulubiony mu powiernik, ksiądz Suchywilk, Grzymalita, który mu towarzyszył do Pragi.

Był to jeden z najpoważniejszych, najuczciwszych swojego czasu duchownych, mąż dobrej rady, nieskazitelnego charakteru, a wielkiego przy-

wiązania do Kaźmirza, który mu miłość jego dla siebie zupełnem odpłacał zaufaniem.

Jak wuj jego, Arcybiskup Bogorja, tak on kształcił się za granicą, w Bononji, Padwie i Rzymie dokończył nauki, a oprócz suchej ich treści, przywiózł z sobą zdrowe i żywe pojęcie wszystkiego, co własny kraj wymagał.

Wielkiej siły ducha mąż, umiejący prawdę mówić i nie zniżający się nigdy do pochlebstwa — cenionym był przez króla wysoko.

Szanował go Kaźmirz i często mu był posłuszny.

Sama postać jego wrażała uszanowanie i oznaczała męża charakteru energicznego a nieulekniego. Król po nim miękkiej pociechy innych spodziewać się nie mógł.

Suchywilk, wszedłszy do izby, w której król siedział pogrążony w sobie, a Kochan stał u proga — popatrzył chwilę nań, nim się zbliżył.

Wstydząc się swojego tak jawnie słabość odkrywającego smutku, król powstał, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. Kochan czuł się tu już niepotrzebnym i zniknął.

Zostali sami.

Czas jakiś Grzymalita milczał.

— Miłościwy panie — odezwał się, — mierząc króla swem wejrzeniem spokojnem — nie trzeba się tak poddawać boleści, choć jest ona bardzo usprawiedliwioną. Lecz, taka kolej rzeczy

ludzkich — takie są losy nasze, nie na ziemi nie ma pewnego. Bóg doświadcza i próbuje.

Po tej przedmowie Suchywilk począł zwolna.

— Ludziom, co dla siebie żyją, boleć i lubować się w boleściach swych jest wolno — nie wam, nie nam. Kapłani i królowie synami są bożemi. — Mocarze w dłoni trzymają losy państw... Macie, miłość wasza, co czynić. — Kraj cały odłogiem leży, czeka na was... Nie godzi się wam nad własną niedolą łzy wylewać.

Każmirzowi oczy zabłyśły, począł słuchać z uwagą. — Książd mówił dalej, ożywiając się...

— Miłościwy panie... pomyślcie o owczarni waszej — a ból wasz własny nie da się wam tak nczuć uciskająco i przygnębiająco.

— Ojciec mój — odczuwał się Kaźmirz — macie słuszność, lecz są cierpienia nad siły...

— Siły woła wywołując, a ta od człowieka zależy — rzekł Suchywilk.

— Wnijdźcie w położenie moje... Ta groźba straszna, iż mogę być ostatnim z rodu mojego! — szepnął Kaźmirz. — W chwili, gdym sądził, iż przeczucia przełamie, gdym miał nadzieję...

— Ale nadzieja straconą nie jest — rzekł energicznie duchowny. — Przeczucia i przepowiednie są to pokusy szatana. Bóg rzadko objawia przyszłość, a gdy to czyni, dzieje się objawienie jej przez usta poświęcone i wiary godne.

Lecz wy, królu miłościwy — dodał — gdyby

nawet, od czego Boże uchowaj, ta jakaś przepowiednia ziścić się miała, możecie po sobie zostawić więcej niż potomka, więcej niż potomstwo — dzieło wasze, pamięć spraw wielkich, dłużej trwająca, niż rody.

Król spojrział nań z ożywieniem i ciekawością.

— Cóż ja uczynić mogę? — zapytał smutnie.

— Tu, u nas, w tej Polsce, ledwie do kupy jako tako orężem ojca waszego sklejonę? — odparł Suchywilk z mocą wielką. — Pytacie, miłościwy królu, co czynić?

Aliści żywota ludzkiego najdłuższego nie starczy na to, co tu jest do czynienia!

Miłościwy królu, widzieliście to miasto Pragę tak wspaniale się wznoszące, alboż my miast takich mieć nie możemy i nie powinniśmy? Wszystko u nas odłogiem! Cóż to są te zamki nasze, stosy drzewa, jakby na opał przygotowanego? Szkół u nas mało, kraj na pół pusty, ludu mało, ściągnąć go trzeba...

Każmirz słuchał, ożywiając się.

— Naostatek, miłościwy panie — dodał kapłan — gdzież u nas prawa są? Inne kraje mają je spisane, u nas każdy sędzia podług jakiegoś starego obyczaju inaczej sądzi... jako sam chce. Jakież to królestwo jedno, gdy w niem zwyczajów tyle, a pisanego prawa lub nie ma, albo je

sobie pisarczyki notują dla pamięci, jak się im podoba, a potem te ich mazaniny służą za kodeksa? Alboż i to godzi się, żeby nasze mieszczaństwo, gdy się sądzi, a wyrokom nie rade, do Magdeburga pod cudze panowanie stało z apellacją?

Suchywilk, który równie biegłym teologiem jak prawnikiem był, mówiąc o tym przedmiocie, mimowolnie się zapędził.

Zmiarkował sam prędko, że nie pora była królowi szczegóły te teraz stawieć przed oczy, i zwrócił mowę swą inaczej.

— Ojciec wasz wojował — rzekł — wy budować musicie i gospodarzyć. Alboż to nie boleśnie nam słuchać, gdy obcy, o kraju naszym rozpowiadając, dzikim go zwą, barbarzyńskim, zarosłym, niewytrzebionym, na pół pogańskim? Albo nie wstyd, gdy nam gościńców naszych, niebezpieczeństwa i niewygody zarzucają w oczy?

Rzemiosł u nas mało, wszystko u obcych kupować musimy...

Każmirz zdał się zapominać o swej boleści,

— Ojciec mój — przerwał — to ty wiesz najlepiej, bom ci się nieraz spowiadał z myśli moich, że całą żądzą mą i staraniem było i jest na ten cel pokój utrzymać, okupić go, aby lud ubogi się wzmógł, bezpiecznie zasiedlił, wzbogacił! Pragnę tego wszystkiego co wy, lecz jak i czem tak wiele rzeczy razem dokonać możemy?

— Jak? — zawołał Suchywilk — rozpoczynając od najpilniejszego.

Wasza miłość daliście najeżdżanym i pustoszonym ziemiom wytchnienie, to już dobrodziejstwo wielkie. Zważmy, co czynić, i bierzmy się do dzieła.

Król się zadumał.

Widocznem było, że Grzymalita zręcznie porafił odwrócić myśl jego od tych dręczących wspomnień, co ją zajmowały. W Kaźmirzu odezwało się to, co go od młodości obchodziło najżywiej, chęć podźwignięcia kraju i postawienia go na równi z innemi królestwami w Europie.

— Cóż więc najpilniejsze? — zapytał.

Suchywilk spojrzał nań.

— Chleb i zamożność da nam pokój — odezwał się — a po nich co najpierwszą wszelkiego kraju potrzebą?

Kaźmirz łatwo mógł w myśl mówiącego trafić, wiedział, co go najżywiej obchodziło zawsze.

— Sprawiedliwość — odparł nieśmiało.

— Tak jest — odparł Suchywilk z radością. — Miłość wasza nieśmiertelną po sobie zostawić możesz spuściznę Polsce. Prawa jej daj!

Kaźmirz powstał odżywiony.

— Dobrze — rzekł — lecz wy mi bądźcie do wielkiego dzieła pomocą. Pocięchą ono dla mnie się stanie...

Zamilkł. Książd przedłużał rozmowę znalazłszy w niej dzielne lekarstwo.

— Prawa pisanego tak jak nie niany — rzekł — co gdzie jest z ust i tradycyj ludzkich pozbieranego, jedno się drugiego nie trzyma, trzeba to zebrać, zjednoczyć, zlać, aby, jak król jeden jest, i prawo było jedno...

Każmirz począł go ścisnąć.

— Pomóż mi — zawolał — pomóż! Trzeba, aby to prawo osłoniło lud biedny, knieccie wzięło w opiekę. Na to umierającemu ojcu słowom dał, iż bronić go będę...

— Chrystus ten lud, jak nas, krwią przenajświętszą odkupił — dodał kapłan.

Taką rozmowę Suchywilk zajął króla do nocy.

Nazajutrz rozpoczął ją znowu. Każmirz sam wznawiał chętnie przedmiot ten, do którego serce go ciągnęło i pocziwa chęć zostawienia po sobie pamięci dobrej.

Tak dojechali do Krakowa. Stolica, do której spodziewał się, wyjeżdżając z niej, powracać szczęśliwy obok młodej małżonki, wznawiała bolesne wspomnienia. Zatrzymać się kazał na drodze, aby przybyć ukradkiem, nocą, wprost na Wawel pusty... do swej sierotki, której matkę obiecał.

Są nieuniknione ciosy.

W bramie miejskiej król podniósł oczy na przemykającego się w przeciwnym kierunku rycerza, który uciekać się zdawał.

Mignęła przed nim biała twarz, kruczemi włosy otoczona, a przed oczyma znowu ukazały się krwawe, poszarpane ciała.

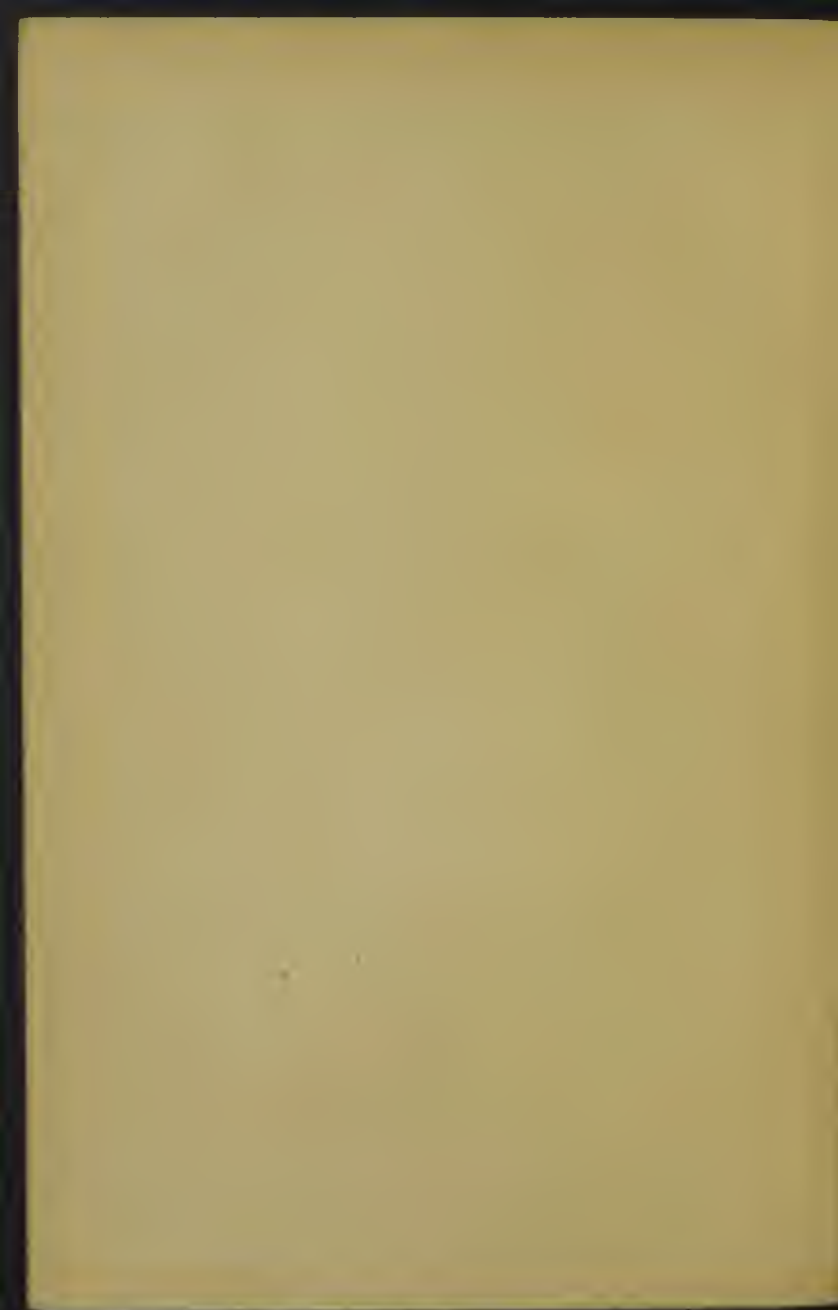
W przemykającym się król poznał — Amadeja!

Na przyjęcie króla nie wyjechał nikt, Kaźmirz zakazał, by go witano. W progu tylko spotkał wiernego swojego Mikołaja Wierzyńka, który nisko mu się do kolan pokłonił, nie mówiąc słowa.

Spojrzeli na siebie; wierny sługa z oczów pana wyczytał całe smutne dzieje tej podróży, która żalobnym dzwonów dźwiękiem się skończyła, jak pogrzeb!



KSIEGA DRUGA.



Wywiaduch.

Na Prądniku pod Krakowem siedział naówczas zdawna już tam osiadły kmieć, a było mu na imię Aleksy, ludzie zaś zwali go pospolicie Leksa i dali, jak to było naówczas zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że Leksa ów wiele znał, wiedział wiele i w kaszy się zjeść nie dał.

Kmieć był bardzo zamożny, lecz, jak inni, do szczytu się żadnego nie przyznawał, ziemianinem się nie zwał, owszem z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem.

I nosił się tak, aby nikt omylić się nie mógł, a nie wziął go za kogo innego, niż był. Więc i czapka była pospolitego kroju, i sukmana taka, jaką pospolity lud nosił, i miasto oręza kij z obuszkiem.

Choć ubożsi chłopkowie nisko mu się kłaniali, a niejednen sołtys pozdrawiał go panem bratem, Wiaduch taką naturę miał, że najchętniej z małemi ludźmi przestawał, bronił ich, swojemi zwał, a kto się nad nimi znęcał, tego cierpieć nie mógł.

Postać jego niewiele była obiecująca. Mały, krępy, gruby, twarz miał rysów pospolitych, ogorzałą, pomarszczoną, ale przy brzydocie swej coś rozumnego miał w oczach, tak, że każdy się na tem mógł poznać.

Wiaduch, tak zwany dla tego, że wiele wiedział, nigdy się niczego nie uczył, całą swą mądrość wziął, jak mówił — z lasu, a w istocie z ust ludzi tych, którym ją dziadowie i pradiadowie przekazali.

Nikt nad niego lepiej nie znał wszystkich starych ziemi zwyczajów, podań, śpiewów i praw, które niepisane, pokolenia podawały pokoleniom.

Zaszłali jaka w tem wątpliwość, jak w dym się do Wiaducha ndawano. On rzekł, nie było już o co pytać innych, nikt się nie sprzeczał.

W chacie było dostatnio, ale Leksa pilno strzegł, aby nad chłopską potrzebę nie tu nie weszło. Sama też chata wyglądała tak biednie, iż niktby się po niej rzeczywistego dostatku gospodarza nie domyślił.

Wiaduch powiadał chytrze, że dla pięknych

skórek zwierza zabijają, i że kto mądry, ten się z tem, co ma, nie chwali.

Starej swej sukmany polatanej niezrzucal, tylko gdy szło o chwałę Bożą, do kościoła na wielkie święta.

Babę jego, niemłodą już niewiastę, którą sobie dobrał do pary rozumnie, choć inie jej było na chrzcie Marja, a gdy dziewczuchą chodziła Maruchna, że się stała na starość gderliwą, opryskliwą a bardzo zabiegłą gospodynią była, przewano też Garusnicą.

Wiaduch ciągle się z nią o coś spierał, klócili się do spotkania, ale się kochali bardzo, i żyć bez siebie nie mogli.

Starym dwojgu dał Pan Bóg naprzód syna, którego proboszcz, że się jakoś jesienią narodził, ochrzcił Marcinem. Za młodu wabiono go Cinkiem, ludzie, że był hoży, dorodny, bo się jakoś nie wdał w ojca, nazwali go Ciarachem, i przyłgnęło to do niego.

O wiele młodsza córka, śliczne dziewczę, tyle tylko, że nie bardzo wyrosła i silna, nad czem matka mocno ubolewała, zwano Bogną, ale, jak to po wsiach się dzieje, aby wało dawniej i po szlacheckich dworach i jej dano imienisko, przydatkowe, Gierki. Znaczyło ono coś, jak jej własne w języku ludu.

Wiaduch, że gospodarstwo miał dosyć znaczne i samby mu z synem nie podołał, choć

oba pracowali pilno, od rana do nocy, trzymał parobka, którego sobie podobno był kupił u żyda, ale tak się z nim obchodził, jakby nie był niewolnikiem, choć wówczas niewolnych ludzi, jeńców wojennych i takich, co za dług w niewolę popadli, było po świecie wielu.

Dziwak ten stary przecie powiadał, że jak wół wołu, tak człowiek człowieka kupować nie może. Pomimo to, karmiąc go dobrze, pilnował też ostro i wypoczywać nie dawał.

Miał takie swoje różne na wszystko pogadanki i gdy o robotę szło, powtarzał: — Jeść chcesz? prawda? no to pracować musisz. Jak ci się odechce jeść, spoczniesz sobie.

Temi pogadankami sływał Wiaduch, a miał język tak wyprawny, że czy duchownemu, czy kasztelanowi, czy wojewodzie, gotów był powiedzieć toż samo, co chłopowi.

Gdy się go pytano, czy się kogo nie boi — mówił: a jużci — Pana Boga!

Nie dziwuje się nikt, że rycerze na wojnie na śmierć idą nie mrużąc oka — to ich sprawa, ale Wiaduch też żadnej śmierci się nie obawiał i żadnego niebezpieczeństwa.

Uchodziło mu to jego zuchwalstwo jakoś, choć kilka razy w dyby go brano i po sądach włóczono. Zawsze bez prokuratora umiał się obronić tym swoim wyprawnym językiem.

Wiaduch siedział na kilku łanach ziemi,

która, jak on twierdził, od wieków do jego rodu należała, ale Toporeczyk Neorża, który później Sandomirskim wojewodą był, w sąsiedztwie ziemie swoje mający, utrzymywał, że łany te do niego należały, że puszczone były tylko kmieciowi który z nich i płacić był obowiązany, coś tam dawać, i posługi pewne pełnić.

Wszystko to, razem wzięte, i snadź nie tak wiele stanowiło dla Wiaducha, bo choć ziemię miał za swoją, Neorży coś dawał i do sądu z nim nie szedł.

Tak się to ciągnęło.

Wprawdzie byłby mógł sobie łatwo znaleźć gdzieindziej roli czy wyrobionej czy zarosłej, ileby chciał, z wolą na lat kilka lub kilkanaście, i byłby mógł wyniść ztąd choć gwałtem, ale mu żal było w pocie czoła obrobionego od tak dawna pola, chaty ojcowskiej, do której nawykł, mówił, że stary był, żeby nowego szczęścia próbować, i choć Neorzy nie lubił, nie ruszał się z miejsca.

Z Toporeczykiem, dumnym a chciwym panem i z jego Sołtysem i włodarzem, sprawa była nie zawsze łatwa — przecież Wiaduch choć cierpiał nie mało, zawsze jakoś umiał się biedzie wyśliznąć.

Śmiejąc się czasem, obiecywał sobie, iż Neorża, który bardzo zuchwałym był, popadnie kiedy pod klątwę kościelną, a naówczas on się z ziemi jego wyniesie bez sporu.

Toporczyka samego rzadko kmieć widywał, słyszał o nim wiele, znał go dobrze, lecz unikał spotkania, a urzędników jego umiał sobie jednać.

W ogóle, choć mówił śmiało i ludziom się do zbytku nie kłaniał, zwad i sądów unikał — sędziów nie lubił.

Gospodarstwo było u niego lepsze, niż u innych, dobytku dużo, a że na targu wszystko się łatwo i prędko sprzedawało, choć trzeba było Neorzę zaspokoić, urzędników smarować, dziecięcinę do kościoła oddać, a nieraz i podwodzie obronić, Wiaduch miał się dobrze.

Jak sam wielce zabiegliwy był i pracowity, tak też dzieciom nie dozwalał odpoczywać. Syn musiał z nim ciągle być, a gdy go do miasta posłał, prędko powracać; córka przędła, tkala, szyła i matce pomagała. Nie mógł się skarżyć, bo mu się ich udało oboje. Ciarach był dzielny parobczak, a Bogna choć drobna i dziecinnie wyglądająca, piękna, żwawa, wesola i pracowita.

Jednego wieczora, gdy właśnie Wiaduch (bo to było na jesieni) powracał z pługiem do chaty, syna mając przy sobie i parobka, a Garuśnica, która była wieczrę przygotowała, stała w progu, męża za coś strofując — na drodze się ukazał mężczyzna, prędzej młody niż stary, lat nad trzydzieści mieć mogący, który konia kulejącego za sobą za uzdę prowadził.

Ubrany był tak, jak się ziemianie dostatni

odziewać zwykli, czysto bardzo i z przyboru wi-
dać było, że z łowów powracać musiał.

Zmęczony był, a że koń ledwie na nogę stą-
pał, zatrzymał się we wrotach, przypatrując chacie,
jakby miarkował, czy też tu znajdzie przytułek
chwilowy. Stary Wiaduch, Ciarach, parobek Wąż
i Garuśnica obrócili się wszyscy ciekawie, mierząc
oczyma podróżnego.

Twarz, choć pańska, podobała się Leksie,
który, gdy kto w nim na wejrzenie wstręt obu-
dzał, nie spieszył nigdy ku niemu.

— Hej! głodny jestem i zmęczony — odezwał
się stojący za płotem — nie dalibyście mi spo-
cząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się pozdrawiając go, jak
należało, lecz swoim obyczajem bez zbytniej uni-
żoności. A był jakoś wesołej myśli.

— I bez zapłaty — rzekł — człek przecie
człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale, mi-
łościwy mój, wy, jak to z sukni widać i z twarzy
ani w chacie dymnej odpoczywać, ani z glinianej
misy drewnianą łyżką jeść nie zwykliście.

— Ho! — rozśmiał się dobrodusznie za płotem
stojący. — Głód nie patrzy misy, a zmęczenie
strzechy i posłania nie wybiera.

Wiaduch zwrócił się do starej Garuśnicy.

— No — babo — rzekł, abys wstydu nie miała!
jest co jeść dla takiego władyki?

O ile Wiaduch się ze swą zamożnością tail,

o tyle stara Garuśnica lubiła się z nią popisywać. A przytem i na przekór czasem staremu coś zrobić rada była.

— Ale, ale — rzekła — nie ogaduj własnej chaty... Ja się nie powstydzę, choćby sam Neorża na wieczerzę się wprosił.

Usłyszawszy Neorży nazwisko, podróżny spytał.

— Neorża! a zkądże go znacie?

— Jak go nie mam znać — odparł Wiaduch — przecież on uparcie się chce moim panem zwać, choć ja w to niewierzę, bom sobie kmięć wolny, ale trudno mu wojnę wydawać.

To mówiąc, stary wrota na podwórko otworzył i podróżny wszedł, kulejącego mocno konia prowadząc za sobą. Wziął go zaraz Ciarach, bo mu żał było bardzo pięknej szkapy, jakiej podobnej w życiu w ręku nie miał, i ująwszy za chorą nogę począł się kopytu przypatrywać.

Po krótkiem badaniu zabity w nią cierń ostry zręcznie dobył, bez pomocy żadnego narzędzia i zawołał wesoło.

— Nic mu nie będzie, tylko tłustością zalać trzeba.

Z ciekawością się temu przypatrujący podróżny, zawołał wesoło :

— Bóg zapłać! bo mi koń bardzo miły, a nie radem go był widzieć kaleką.

Szli więc do chaty, Wiaduch go prowadził, ale podróżny ów, jak gdyby po raz pierwszy

w życiu na wsi był, szedł bardzo powoli, z nie-
zmiernem zajęciem przypatrując się wszystkiemu.

Stawał, spoglądał a choć nie pytał, widać
było, że mu się tu wszystko osobliwem wydawało.

Chata Wiaducha, tak jak on sam, nie odzna-
czała się niczem od pospolitych chłozyn kmieciów,
chyba tem, że w niej sprzęt zwykły był czysty,
mocno i porządnie zrobiony, nie zszarżany i cały.
Jak we dworach, ławy były do koła, stół w je-
dnym rogu świetlicy, ognisko w drugim. Podłogę
zastępowało klepisko dobrze ubite i twarde.
U drzwi, jak wszędzie, stało wiadro ze świeżą
wodą i czerpakiem, na policach garncarskie na-
czynia, dalej łyżki i dzbanki a kubki drewniane,
czerwono zdobione, smołą wylewane. Na stole
widać było bochenek chleba świeżego dobrze
nadkrojony, nóż przy nim i sól szarą w drobnych
grudkach, bo tę lud naówczas, jak dziś, za lepszą
i oszczędniejszą uważał.

Nie było w tej porze gotowego nic jeszcze,
ale ogień się palił, garnki stały przy nim dokoła.
Garuśnica wprost do nich poszła. Miała jaja,
była słonina, mleko zsiadłe, śmietana, był miód
w plastrze, i chleb niecierstwy. Mieli i piwo nie-
kwaśne, czegoż głodnemu podróżnemu więcej
mogło być potrzeba?

Wszedłszy do izby, znowu się dokoła obraca-
jąc rozpatrywał, a Wiaduch nie spuszczał go
z oka. Nareszcie, gdy obejrżawszy się siadł na

ławie, gospodarz też, wprawdzie opodał, usadowił się także. Mówiliśmy już, że dnia tego był dosyć wesół, i język zawsze ochotny do obracania się w ustach, usposobienie miał nie próżnować.

Jak podróżny chacie, tak Wiaduch jemu pilno się przyglądał, rad był wiedzieć, co za jednego miał w gościnie. Dostatek na nim widać było — ziemianina się mógł domyślać, ale i mieszczaństwo niektóre też się z pańska nosiło.

Podróżny skinąwszy głową gospodarzowi z uśmiechem, dosyć niezgrabnie wziął się do ukrojenia sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść chciwie.

Wiaduchowi zdawało się, gdy krajał, jakby to pierwszy raz czynił w życiu, tak był niezgrabny.

— Nie rozkazując wam — jeżeli łaska — rzekł grzecznie gospodarz — zdaleka miłościwy pan?

Gość wskazał w stronę Krakowa.

— Od Krakowa — rzekł.

— Pewnie ziemianin tuteczny? — odparł Wiaduch.

— Nie! głową potrząsając, rzekł zajadający.

Zdziwił się Leksa, pomyślał że pewnie urzędnika jakiegoś chyba ma przed sobą.

— Juści nie mieszczanin... zamruczał... to widać.

— No — rozśmiał się badany, nie jestem ci, prawda, mieszczaninem, ale przecie — od miasta jestem...

Powiedzieć jakoś nie chciał kto był, Wiaduch dał mu pokój. Wiedział, że ziemianinem nie był, to mu starczyło.

— A wam jak się tu dzieje? — zapytał z kolei gość. Dużo ciężarów na sobie macie? Płacicie co Neorży? — To człek żądny grosza?

— Znacie go — miłościwy — rozśmiał się Wiaduch, ale, który z nich inny! Każdyby rad wziąć, czego sam nie zapracował! I nie dziw, potrzeba im dużo. A z czegoby te szaty mieli piękne, i woźniki, i stroje, i klejnoty, i dobre jadło i napitek zamorski?

Słuchał z ciekawością podróżny, który o chlebie nawet zapominać się zdawał. Usta mu się do uśmiechu składały.

— Jak was mianują? — zapytał.

— Mnie na chrzcie świętym nazwano Leksą, a ludziska niepoczciwe ochrztili Wiaduchem...

Ruszył ramionami — Wiaduch! niech będzie i Wiaduch!

— Gospodarka dobrze idzie? — badał dalej gość.

— A no — idzie i kuleje — różnie bywa — mówił poufale kmieć. Pracować trzeba, bo człowiek i na siebie i na dzieci, na grad, na burzę, na złodzieja musi zarobić, na pana Neorzę i na księdza... Wszyscy żyją z nas...

— Tak ci jest — mój stary — odparł, wy-

śluchawszy przybyły, ale wy lejecie pot, a drudzy was broniąc, krew wylewają.

Wiaduch się rozśmiał serdecznie.

— No — krew i nasza się leje — rzekł... nie jeden raz... ale jaki tam pan Bóg na świecie porządek ustanowił, my go nie przerobimy. Machnął ręką.

— Przecie chleb macie? — pytał dalej ciekawy podróżny, przypatrując się, jak Garuśnica z dziewczęciem koło ognia i garnków chodziła.

— Bywają i głodne lata — westchnął kmić. U mnie to tam jeszcze ziarna w zapasie trochę jest, a drudzy na przednowku czasem i trawę gotują, zieleń i korę tartą jedzą... a z głodu mrą; który Boga w sercu nie ma, naówczas rozbija.

Rozśmiał się słuchający i dodał butno.

— Nie dziw, bo ziemianie a rycerstwo często i głodu nie znając, rozbija po gościńcach.

Zdawało się to śmiałe powiedzenie dziwić gospodarza, pomyślał w duchu, że już ci sam on do rycerstwa należeć nie mógł, kiedy się tak o niem odzywał.

Spojrzał bystro...

— Miłościwy mój — odezwał się poufale, pp. ziemianom się nie dziwować. Wszak ci to z przeproszeniem, i bydle gdy się dobrze naje, bryka a dokazuje. Im ci też tu w tem naszym królestwie nieźle się dzieje...

Po namyśle poprawił się Wiaduch.

— Pono tak i wszędzie na świecie.

— Tak jest — potwierdził gość — w innych ziemiach toż samo, albo i gorzej.

— Nie zawsze to tak bywało — począł Leksa — ojcowie mówią, wszyscy jednacy byli, potem się to popsuko... i kmieć, na pół niewolnym został.

— Ależ! — zaprzeczył słuchający — kto wolen był, ten i jest!

Wiaduch głową potrząsał.

— Siłaby o tem mówić — rzekł.

— Mówcie, proszę, rad posłucham — wtrącił, do chleba powracając, siedzący na ławie. — Kmieciowi tak źle u nas nie jest...

Popatrzał mu w oczy Leksa i potrząsał głową.

— A no — rzekł — tylko że za kmiecia zabitego lada kto gdy zapłaci cztery grzywny winy, a za głowę blizkim sześć, nie mu nie będzie, a za ziemianina musi sześćdziesiąt dać i czasem tego nie starczy...

Kmieciowi, gdy dokuczy Neorża taki, nawet się z ziemi jego wynieść nie może, musi czekać, wedle obyczaju, albo na pana klątwy, albo żeby mu dziewczynie krzywdę wyrządził, lub by za jego długi pokutował... a i tak...

— Przecie sędziów macie? — zarzucił gość.

— Sędziowie albo ziemianie są, lub się ich boją; sprawiedliwości u nich nie znaleźć.

Osądzą źle, jakże tu sędziego naganić? Je-

żeli kasztelan przy sądzie był, gronostaje lub łasicę trzeba mu dać za to. Sędzia za każdą sprawę cztery grosze żąda, bo dla niego małej niema.

Woźny przyjdzie z czeladzią swą, bierze woły, suknie, siekiery, motyki... kiedy się czem opłacić nie masz.

Gdy tak Wiaduch rozprawiał, podróżny się przysłuchiwał pilniej coraz.

— A jakążby na to rada była, aby sprawiedliwość się działa każdemu? — zapytał — boć i kmieć ją powinien mieć.

Wiaduch aż z ławy wstał, tak mu się pytanie dziwnem zdało.

Popatrzył na badającego.

— Miłościwy panie — rzekł — jam prosty człek, ale mnie się widzi, że na to rady nie ma. Chodzę ja do kościoła i słucham, co ksiądz rozpowiada; pono na świecie tak bywało i do końca świata zostanie.

Zamyślił się gość, ale wtem Garuśnica z Bogną zaczęły się zwijać około stołu, przynosząc jadło.. A choć nie wytworne ono było, chłopskie, głodny zabrał się doń śmiejąc, i jakby po raz pierwszy w życiu tych przysmaków kosztował.

Smakowało mu wyciszenie.

Wiaduch też miszkę wzięwszy na kolana, zajał, spuściwszy głowę.

Postawiła Bogna przed gościem dzbanek z piwem i prosty kubek drewniany, tylko z instynk-

tem kobiecym, chcąc go przyjąć dobrze, dobrała najpiękniejszy. Świeżo był wystrugany, jak toczony, a na jasnem drzewie kraśne obwódki jakby obręcze zakreślały.

Gość nalał sobie, i do zapatrzonego ładnego dziewczęcia kiwnąwszy głową przepił, aż się zarumieniło, twarz zakryło i ku ognisku cofnęło.

Jedli czas jakiś milczący, lecz młody pan, wkrótce przerwana na nowo począł rozmowę.

— Mówcież mi, proszę — rzekł — o waszym stanie i o dolegliwościach jego, dobrze to wiedzieć, aby radzić temu.

Wiaduch ruszył nieznacznie ramionami z niedowierzaniem.

— Wiedzieć jak wiedzieć — rozśmiał się — ale poradzić ani król nie potrafi...

— Ani król? — zdziwiony podchwycił gość — przestając jeść i wlepiając oczy w niego, a to dla czego? przecie siłę ma, wolę ma!

— A no, jeno rycerstwa swe musi oszczędzać, ziemianów nie drażnić, bo on panuje, a oni go trzymają. Za ziemiany i rycerstwem kmiecia nie widać. On stoi na końcu, ostatni.

— Przecie król wszystkim panem jest — sprzeciwił się słuchacz — tak rycerstwu jak kmieciowi.

— Pewnie — rzekł Leksa — ono się tak zwie, ale w rzeczy tylko to prawda, że kmieć

wszystkim służy, a nim się nie opiekuje nikt krom pana Boga.

— To się przecież na opiekuna skarżyć nie możecie — zaśmiał się słuchacz.

— Nie skarżym się — zamknął stary — którego rozmowa nie zdawała się bawić...

Zamilkli, pomilczeli. Garuśnica nową miskę przysunęła gościowi... Bogna, wytarłszy fartuchem, podała mu łyżkę drugą za co się jej uśmiechnął tak, że znowu do ognia uciec musiała.

Zadumał się trochę przybyły, nim jeść począł, głodu już pierwszego zbywszy, jakby coś mu na myśli ciążyło.

— Więc nie bardzo sobie życie chwalicie? — zapytał.

— Ani chwale, ni narzekam — rzekł Wiaduch. — Mam ci taką naturę, że wesoło biorę co Bóg zeszle, bo gdybym się trapił, sambym sobie szkodził... i tyle.

Znowu ręką zrobił ruch żywy, niby odpędzający.

— Bywacie w Krakowie? — zapytał podróżny.

— Na targu i do kościoła czasem jeżdżę — rzekł Leksa. — Nie ciekawym...

— Przecie jest na co patrzeć?

— A w domu jest co robić! — rzekł Wiaduch.

Podróżny się uśmiechnął.

Po chwili stary kmieć dodał.

— Patrząc, to prawda, że jest na co, gdy pod pręgierzem stawia złodziei, a kosterów z mieściska chłoszcząc wyganiają, a no więcej się czem zabawić nie ma...

Do piwa Swidnickiego kmieć się nie dociśnie, firtelnicy nie dopuszczają go nigdzie...

— I na zamku nieraz by się czemu było przypatrzyć — rzekł gość.

— O! na zamek już chyba nam nie iść — śmiał się Wiaduch — tam droga dla panów nie dla sukmany... A po co?

— Po co? — odparł podróżny. — Juści, kiedy by się wam krzywda działa, dla czegożbyście i do króla nie mieli iść? On ci przecie najwyższym sędzią.

Leksa brwi podniósł do góry...

— Boże uchowaj! a jakby król przez nieświadomość osądził źle, naganić go się nie godziłoby, bo za naganę i sobola byłoby mało, a do kogo sprawa? do Boga...

— Nie bardzo więc królowi utacie? — spytał ciekawie gość.

Pytanie to zdumiało i może nastraszyło kmiecia, zamyślił się, długo zbierał z odpowiedzią.

— Król! król! — począł — Ma on o czem innem myśleć, nie o nas.

— I o was powinien... — rzekł podróżny

Wiaduch dziwnie się mu począł przypatrywać, rad był już odgadnąć, z kim miał do czynienia.

— Nie lubicie go? wtrącił gość.

Na to pytanie spoważniała twarz Wiaducha.

— Złego on nam nie zrobił nic — rzekł — myślę, że dobrze by chciał, a no nie może... Nieboszczyka starego Łokecia tośmy znali, młodego, trudno zobaczyć... Tamten dobry był... a i z prostym kmieciem jak z człowiekiem się nieraz rozgadał.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz podróżnemu...

— Tamtego—mówił, zbliżając się doń Leksa—myśmy i ratowali nieraz, gdy się opuszczony od rycerstwa po kraju błakał... ot tam wedle jaskiń i wąwozów! Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali... pamiętamy to!!

— I syn jego wam to pewnie będzie pamiętał — odparł, spierając się na rękę, zadumany gość.

Popił piwem trochę, wlepił oczy w Wiaducha, który prawił ciągle.

— W tym starym jakby ojca i brata myśmy czuli. Żył tak jako my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry... pan Bóg mu to wynagrodził, boć się korony dobił...

Podróżny z ławy wstał, poruszony dziwnie i przejęty... Obejrzał się, wieczór nadchodził.

— Bóg zapłać gospodarzu, Bóg zapłać gospo-
sposiu i wam — dodał skinąwszy Bognie.

To mówiąc powoli do kalety sięgnął i za-
brzęczały w niej grosze.

Wiaduch się namarszczył.

— Krzywdy mi nie czyńcie — rzekł spokoj-
nie — za gościnę nikt nie bierze zapłaty..

— Dla czego? — zapytał podróżny.

— Po starym obyczaju nie godzi się to —
przerwał Leksa — chata nie gospoda... Krzywdy
nie czyńcie. Kmieć jestem i choć Neorża kłamię,
żem jego, byłem i będę wolny...

Począł się uśmiechać, chcąc obrócić to w żart.
Gość stał wielce zakłopotany, myślał.

Naostatek z ręki, z palca ściągnął pierścień
i skinął na Bognę, która zamiast zbliżyć się, skryła
w kącie przestraszona.

— Chciałem choć dziecku waszemu pamiątkę
zostawić — odezwał się — niechaj by miała na
zrękowiny, gdy za mąż iść będzie...

To mówiąc i nie chcąc dziewczęcia zmuszać,
pierścień świecący dużym okiem na stole położył,
pokłonił się i szedł na próg, a Wiaduch za nim.

Ciarach pobiegł po konia, który choć naku-
liwał nieco, ale napojony i wypoczęty trochę, był
daleko raźniejszy. Podróżny dziękował znowu
wszystkim do koła, siadł rażno na wierzchowca
i za bramę się wydostawszy, dosyć spieszo po-
jechał, a zarośla go wprędce im zastąpiły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad pierścieniem Bogny... Był on z czystego złota, a na przedzie miał jakby sznurem poopasywany kamień czerwony, w którym pod słońce woda się przelewać zdawała.

Nie mogli mu się nadziwić, ani nacieszyć nim, tylko Wiaduch stał mocno zadumany. Napróżno starał się odgadnąć, kto był ten gość, co o sobie nie powiedzieć nie chciał, a przed którym on się tak szczerze wygadywał...

Do duchownego, choć oni naówczas różnie się ubierali, nie był podobnym, na mieszczanina był za wielkim panem, a do rycerstwa się nie przyznawał. Trudno było zaiste odgadnąć. Przysiętem nie musiał być ubogi, bo podarek, choćby nie złoty był (rozpoznać nie umieli kruszcu) zawsze się drogiem im wydawał.

Sama Garuśnica, nie chcąc go Bognie powierzyć, gdy się wszyscy przypatrzyli pierścieniowi, zawinęła go w czystą szmatkę i poszła zachować do skrzyni.

Na dworze ściemniać się zaczynało.

Ciarach jeszcze około szop i dobytku chodził z Wężem; a Bogna wiaderko świeżej wody niosła do chaty — gdy na drodze zaczęło tętnieć i krzyki, głosy i hukania się ozwały...

Nocą się rzadko trafiało, aby tędy kto przejeżdżał, dla bezpieczeństwa pobiegł Ciarach wrota wielkie drągiem założyć, gdy już około nich sta-

nęli jacyś jezdni, których w ciemności ni twarzy ni odzieży nie było można rozeznąć. Ciarach tylko dopatrzył się, że zbrojni byli, a rozmawiali między sobą hałaśliwie, głośno, niespokojnie, jak gdyby się kłócili...

Jeden z nich kłął i nawoływał.

— Sam tu?

Ciarach się odezwał.

— A czego chcecie?

— Jechał kto tą drogą?

— Mało kto tą drogą jeździ — odparł chłopak

— A no — dziś, teraz, niedawno! Nie widzieliście kogo?

Zbliżył się Wiaduch, i zwyczajem wieśniaczym na pytanie odpowiedział drugim:

— A kogóż wam potrzeba?

Rozśmiali się słuchający.

— Ciekaw, bestyja, chłop.

— Pan tedy jechał jaki...

— Był jeden.

— Na jakim koniu?

Ciarach maść im i piękność opisał, i wnet się podniosły krzyki.

— To on! on!

— Jechał tedy, godzina temu albo więcej gdy ruszył dalej; konia miał zranionego w nogę i tu spoczywał, a posilił się, bo i my mu dali na co stało...

— Zdrowże był? nie mu?

— Jako wy wszyscy — rzekł Wiaduch — zdrów jak ryba i dosyć wesoly był... Ino mi nie chciał mówić kto on... a zlitowalibyście się nademną, gdybyście mi jego nazwisko dali...

Wesołe głosy tłumne nie dawały usłyszeć nic.

— Jedźmy, gońmy! poczęto wołać ochoczo.

— E! Szczęśliwy ty chłopie, odezwał się jeden z za płota... nie wiesz kogoś w chacie przyjmował, gdy ci pany wszystkie zazdrościć będą!!

— Kogóż! przerwał Wiaduch...

— Królaś miał, król u ciebie był! krzyknął jeden i nie czekając dłużej, jak prędko przypadli, tak prędzej jeszcze dalej pobiegli.

Wiaduch i Ciarach stali w osłupieniu. Kmieć się zamyslił głęboko, ręce zacisnął, czoło namarszczył...

— To się też odemnie nasłuchał! powiedział sobie w duchu.

Tymczasem Ciarach i Bogna biegli do matki wołając, parobek się za głowę trzymał — powstała wrzawa i trwoga...

— Król! król!

— Aby się tylko czego nie rozsierdził na mnie — powiedział sobie Wiaduch — bo ze mnie ciągnął, com na duszy miał.

A no — wola Boża — co ma być, to będzie.

Poszedł smutny nazad do chaty. Ale tu gdy rozważać zaczęli jak patrzył, co mówił, jak się do Bogny uśmiechał — jak jej pierścień podarował

wał — wszelka trwoga ustąpić musiała i sam knieć uznał, że król gniewnym być nie mógł.

Rozwahał teraz i on, i wszyscy, jak on do innych ludzi i rycerstwa był podobny, a po niczem w nim królewskości jego odgadnąć nie było można.

Chociaż niespodziane te odwiedziny wielkie nawet u Leksie uczyniły wrażenie, jednakże na-
zajutrz wstał do dnia swoim zwyczajem i na pole wyszedł...

Ciarach też i Wąż, rozprawiając o wczorajszem przez cały dzień, ani się spostrzegli, jak wieczora doczekali. Ani dnia tego ani następnych nie przyszło nic takiego, coby mogło lub gniew króla, albo jego łaskę im oznajmić.

Powoli więc zacierało się wspomnienie, a w miesiąc potem Wiaduch żartując sobie, opowiadał jak króla poufale, siedząc przy nim na ławie, przyjmował.

Już był uspokojony zupełnie, gdy jednego południa zawrzało przed wrotami aż strach. Wiaduch był na polu, Garuśnica z córką, choć nie bardzo trwożliwa, zaparła się w pustej chacie, i myślała czy się nie wdrapać na wyżki, drabinę wciągając za sobą, bo rycerstwo jakieś zuchwałe, strasznie kłęło i dokazywało, o Wiaducha się upominając.

Baba wyrzawszy ostrożnie z po za zasuwy, poznała Neorzę.

Sam on był, opasły człek, któremu z konia

zleść i na konia się wdrapać było trudno, czerwona, okrągła twarz paskudna, oczy małe czarne.. Siedział na szkapie spaselej jak sam i wściekał się..

Wiaducha wolano na gwałt.

Był niedaleko na swoim łanie i posłyszawszy halas, powoli, z rękami w kieszeniach ukazał się w dziedzińcu. Zobaczywszy i poznawszy Neorzę, zdjął czapkę i pokłonił się, ale go lajanie i gniew wcale nie poruszyło.

Przystąpił blisko.

Neorża rękę, w której bat trzymał do góry podniósł.

— Tuś mi! — krzyknął, ha! zbójn! — Będziesz ty na mnie królowi skarżył? — dam ja ci! — Skórę zedrę z ciebie.

— Ja? — zapytał Wiaduch ze zwykłą swą spokojnością szyderską i niecierpliwą gorzej niż zuchwalstwo. Ja?

— A któż?

— Nie wiem, jam na was nie skarżył — rzekł Leksa zwolna. Mówilem ci z miłością jego, i był u mnie gościem, ale o waszą miłość nie pytał, a jam nie wiedział, kto on jest...

Neorża patrzył nań i pięści ścisnął w kulaki.

— Osyp dałeś? — grzywnę zapłacił? — krzyknął.

— Nie winienem nic — rzekł Wiaduch — patrząc w ziemię.

— Było ci dotąd dobrze na mojej ziemi

zawołał pan — bo ziemia ta moja jest i jak pies
łże, kto mówi inaczej — siedziałeś spokojny —
teraz dopiero poznasz, jakim ja być umiem!

Boś skarżył na mnie.

Wiaduch popatrzał nań.

— Król na was skarżył przedemną, — odparł
obojętnie — nie ja przed nim...

Pan nie odpowiadał nic.

— Czyńcie sobie co chcecie — dodał Leksa —
wola wasza.

Neorża miał widać wielką ochotę inaczej się
z kmieciem rozprawić — lecz coś go wstrzymy-
wało. Podniósł rękę do góry, pogroził.

— Poznasz ty mnie! — zawołał — poznasz...

I batem z całych sił skropiwszy konia, po-
biegł dalej, a dwór i ludzie za nim się puścili.

Wiaduch nałożył czapkę na uszy, ręce powkła-
dał w kieszenie, obejrzał się ku studni, a że na
zrębie wiadro stało, poszedł się napić z niego,
otałrł usta i tak obojętny jak przyszedł, do swo-
jego pługa powrócił.

Ciarach myślał, że mu co powie.

— Wiu hot! — odezwał się na konie i —
orać począł...

W chacie cicho było, ale w dni trzy urzędnik
Neorży stóg siana z łąki Wiaducha w biały dzień
zabrał do siebie. Na zapytanie odparł, że takie
było przykazanie, że trzy miarki żyta miał zaraz
przywieść Leksa i pół grzywny zapłacić.

— Za co?

Włodarz powtórzył krótko, że takie było przykazanie.

Nazajutrz dwóch urzędników włodarskich wzięli gwałtem wóz i konie, niewiadomo dokąd i na jak długo. Ciarach, żeby mu chudoby nie zniszczono, siadł tam też i pojechał.

Zaczynało się prześladowanie.

Wiaduch cierpiał, lecz nie syknął, Garuśnica po całych dniach klęła.

— Mileżałabyś babo — rzekł do niej — nie pomoże to nic. Poczekamy mało, a jak się włoścyśko nie nasyci rychło — no — to pociągniemy w świat. Ziemi jest dosyć... Jam ci nie niewolnik, a człek z pradziadów swobodny...

Garuśnicy starą chatę opuścić, było jak życie stracić — płakała...

Wóz z końmi spędzonemi ledwie powrócił, aż włodarz byczka z obory wziął. Takie było przykazanie. — Na polu, w trzodzie owiec, psy jego szkodę zrzędziły umyślną, kilka owiec było pokaleczonych. Gdy Wiaduch zagadywał go o to, odpowiadał mu: — Przykazanie mam!

Czekaj — nie koniec! będzie więcej.

Jeden z czeladzi włodarskiej przyszedł potem wieczór, niby z wielkiej przyjaźni podszedł, żeby Wiaduch z podarkiem do Neorży pojechał przebłagać, upokorzyć się i o przebaczenie prosić.

Kmieć nic na to nie odpowiedział, zmarszczył się i wkrótce go zbył w ostatku.

— Idź, zkađ cię wysłali.

Baby rozpaczaly, nie lepiej moze bylo i Wiaduchowi — ale on, im go co mocniej bolalo, szczelniej usta zaciskal.

Wtem jednego dnia, gdy na poludnie do chaty przyszedł, słyszy wołanie w dziedzińcu i śmiech wesoly...

Nim się do progu dostal — ujrzał zbliżającego się do chaty króla, który parę psów z sobą wiodąc, konia zostawiwszy u wrót, wchodził już wołając.

— Zdrów bywaj — gospodarzu!

Wiaduch, jak panu należało, do nóg przypadł.

— Wstawajże, stary — odezwał się król — bądź ze mną tak, jakeś był pierwszą razą. Na Zamku ja królem jestem, a tu — jam prosty myśliwy...

I siadł na ławie. Psy mu na kolanach głowy ogromne pokładły.

Wiaduch stał milczący.

— Mówcie mi — cóż tam u was? — baby zdrowe? — żyto wschodzi?

Kmieć się zupełnie opamiętał i ochłonał z pierwszego niepokoju.

— Miłościwy królu — rzekł, wyście dobrzy dla ludzi, ale co za wami chodzić, licha warto...

Neorża mnie prześladowa za to, jakobym skarżył przed wami nań. Dalej nie strzymam!

Głos mu zadrżał.

Król oburzył się.

— Niepocziwy człek — zawołał, mówcie co wam uczynił?

Wiaduch począł skargi rozwodzić, ale jak zawsze — chłodno, z pomiarkowaniem, z szyderstwem.

— Do sądu go pozwij — rzekł król.

— W sądzie siedzi albo brat, albo swat — do sądu bez datku nie dostąpię — nie stać mnie nań.

Królowi zapłonęła twarz.

— Spokojny bądź — odezwał się, powstając z ławy, ja go zawezwę jutro na sąd przed się... U mnie on nie wygra sprawy.

Wiaduch podbiegł do Kaźmirza ze złożonemi rękami.

— Królu — panie — krzyknął, a nie czyńcież tego! Neorża mnie potem zje przez zemstę, a ja zawsze do was na skargę chodzić nie będę mógł... Trudno. Wy macie całe królestwo, o którym musicie pamiętać, nie mnie jednego. Nie zawsze czas, nie zawsze wy tutaj... Pojedziecie na Ruś... na Węgry, Bóg wie dokąd w odwiedzinę jakie do królów, na łowy. Was nie będzie, a Neorżę ja na karku zawsze będę miał.

— Cóż ja ci uczynić mogę? — zapytał smętnie król na pół przekonany.

Kmieć westchnął, myślał czas jakiś, niby nie śmiejąc powiedzieć, co mu się do ust cisnęło.

— Mów! — dodał król żywo...

— Nic wy dla mnie uczynić nie możecie — z cicha odparł Wiaduch, a nie tylko dla mnie, jak i dla nas wszystkich kmieci, ile nas jest. Panów ziemian jeden król nie upilnuje, ani strzyma... Wy widzieć i wiedzieć nie możecie, co się z nami dzieje. Spytacie, powiedzą wam, że spełnili rozkaz, a nas będą dusili, jak duszą...

E! — dodał, ja z Neorzą moim powoli sobie radę dam .. jam nie wieczny, ani on...

Posmutniał król.

— Wierz mi — gospodarzu — rzekł, iżbym los wasz poprawić chciał, ale, masz ty słuszość — król bezsilny przeciw nim...

Ha! — dodał szydersko, na to już chyba tę jedną macie radę. Krzesiwo u pasa, na polu się krzemień znajdzie, w lesie huba rośnie...

Kmieć się śmiechnął smutnie.

— Tać! — rzekł, nie jeden się tego sposobu chwycił, gdy innego nie było, ale to już chyba ostatni.

Zażądał król mleka.

Zasłali mu ręcznik czysty, przynieśli chleb świeży, na ławie siadł. Dwór miał rozkaz, aby na pana za wrotami czekał.

Gospodarstwo oboje pyszni tem, że pana przyj-

mowali, krzatali się, aby ugościć... Garuśnica nawet psom mleka postawiła na misie u pieca...

Król tymczasem rozpytywał starego o gospodarstwo, o życie, o zarobek, o ciężary...

Ośmielający się coraz bardziej stary Leksa, tak w końcu poufale i swobodnie odpowiadał, jakby z prostym człekiem rozmawiał. Daleko mniej strasznym mu był król od Neorży.

Znowu tedy nazwisko to się nawinęło na usta kmieciowi.

— A toś się powinien pocieszyć, mój stary — rzekł król do niego, bo nie ciebie jednego odziera Neorża, próbował i mnie.

— Miłościwy panie! a jakżeby się on ważył! zawołał kmieć.

— Jak? tak jako na ciebie — rozśmiał się Kaźmirz. Masz wiedzieć, że w Wieliczce przy soli konie moje żupnicy utrzymywać mają powinność... Dobrze się tam szkapom dzieje... Neorży się też zachciało swoich tam parę dać, aby mu je żywiono darmo... Trukla i Lewko, gdy je przyprowadzono, nie śmieli odpędzić... jadły więc moje obroki i spały się...

Wiaduch głową pokręcał.

— Alem dobrze skarcił tego śmiałka — dodał Kaźmirz, i zakazałem, aby mi się na oczy nie pokazywał...

— Ot, czego mu się zachciało! rozśmiał się gospodarz...

— Widzicie więc — dokończył Kaźmirz, żem ja od was nie lepszy — i mnie drą. A nie jeden Neorża, ale i drugih wielu...

Trudno mi wszystko widzieć i być wszędzie...

Tak się dalej przeciągnęła rozmowa, bo król o stan kmieci rozpytywał pilno. Gdy naostatek zabierał się do odjazdu, Wiaduch za połę sukni go ujął i całując ją szepnął.

— Miłościwy panie — dobrzy dla nas być chcecie, uczynieź to dla muie, a między Neorżę a mnie nie wkładajcie palca... bo się mścić będzie. Ja sobie z nim poradzę.

— Krzesiwem? spytał Kaźmirz.

— To już na ostatnie danie zostawić muszę — odparł wieśniak... I głową potrząsnął.

Przeprowadził króla aż do wrót.

Tym razem Bogna weale się nie pokazała, choć Kochan, który z królem był, a o piękności jej słyszał od pana, podglądał, czy nie zobaczy dziewczęcia. Matka z jakąś trwogą przeczucia, skryła ją w komorze, tak, że tylko przez szpary drzwi, mogła się przypatrywać królowi...

Jechali nazad ku Krakowu, Kaźmirz przodem, tuż za nim Kochan, który odwiedzin tych inaczej sobie nie umiał wytłómaczyć, chyba tem, że mu dziewczę ładne w oko wpadło...

Zagadnął więc o to, że Bogny im nie pokazano.

Król się obejrzał nań szydersko.

— Dobrze uczynili — rzekł, bo nie na to ją chowali, aby się zmarnowała. Żałby jej było..

Ziemiańska a mieszcza... nie wiele sobie wazy niewieścią pocziwość, ale u kmiecia to rzecz święta, i tykać się nie godzi, co u niego skarbem jedynym.

Kochan się śmiać zaczął po cichu.

— Miłościwy panie — odezwał się, ziemianie was nie darmo królem chłopów przezywają...

Myślał, że Kazimirz to weźmie do serca, lecz uśmiech tylko wywołał na usta pańskie.

— Myślisz — Kochan — że jabym się powstydził królem im być, gdybym mógł? — rzekł. Toć niedola moja, żem ja tu król malowany — wiele pragnę, a mogę mało!!

Westchnął, jechali dalej milczący.

Neorża ów, który w Sandomirskiej ziemi posiadłości miał i w Krakowskiem, należał do Toporczyków, to jest do najmożniejszego i jednego z najstarszych rodów w Krakowskiem, który się już i po innych ziemiach rozrodził, a wszędzie możliwym był.

Dwór też miał w Krakowie, w którym często przesiadywał.

Królowi w początkach przypodobać się starał, marząc o wielkich dostojenstwach i łaskach, a cho-

ciaż Kaźmirz, obdarzony instynktem dobrym do ludzi, pochlebcy zabiegliwego nie lubił, zimno go przyjmował, odpychany, narzucał mu się gwałtem.

Nie rychło dopiero postrzegł, że Kaźmirza ani zmusi, ni podejdzie, i choć Województwo mu dawniej przyobiecano, aby się go zbyć, łask się już więcej nie spodziewał.

Przed ludźmi Neorża nie wydawał się z tym zawodem, mówił wiele o swej przyszłości, lecz do króla ząb miał i nie lubił go.

Nie było im wszystkim zbytnikom w ład, że Kaźmirz porządek chciał zaprowadzić wszędzie, wglądał we wszystko, z chłopami rozmawiał o tem, co im ciążyło, żydów do siebie puszczać kazał ze skargami, żupom i dochodom z nich marnować się nie dawał..

I Neorża i inni na to szemrali mocno, nie takiego króla miećby byli chcieli.

Gdy się wydało przez Lewka, który Wieliczkę trzymał, o owych koniach, narzuconych mu przez Neorżę, a król przepędzić je kazawszy, srodze się pogniewał i winowajcy na Zamek do siebie nie kazał puszczać, wpadł w gniew wielki Neorża...

Takich jak ów niechętnych z różnych powodów, Kaźmirzowi było wielu.. Sarkało po cichu duchowieństwo, bo Arcybiskup Bogorja zbyt, według niego, był królowi powolny, ziemianie się skarżyli, że w sądach im nie dawano przewodzić, i pilno strzeżono wymiaru sprawiedliwości.

Nie lubiono i księdza Jana Suchywilka, który był nienstaną radą przy królu, bo ani duchowni, ani rycerstwo z tego surowego prawnika nie byli radzi.

Z dniem każdym mnożyły się skargi i żale na króla.

Wiedział o nich, czy nie, Kaźmirz? donoszono mu, czy tajono? nie było można poznać, bo po sobie nie okazywał, aby dbał wiele o ludzkie mowy i niechęci. Nie wstrzymało go nigdy nic na drodze, którą sobie wyznaczył.

Do niechętnych królowi liczył się i młody ksiądz Marcin Baryczka, z rodziny, która niegdyś z Węgier przesiedliła się była na Ruś, zrodzony z Grzymalanki, a za granicą wychowany, i z wymowy, surowości obyczajów, nienstraszonego charakteru słynący.

Naówczas jeszcze ks. Baryczka wikarjuszem był tylko, i przy biskupie krakowskim na dworze jego zostawał.

Mało znaczył młody Wikarjusz, lecz już mu naówczas ludzie przepowiadali w kościele dostojęstwa wielkie.

Gdy inni kapłani zawsze po troszę ludźmi się okazywali, o beneficjach, o godnościach, o podnoszeniu się myśleli i stan duchowny dla nich był drogą do ziemskiego celu; u księdza Marcina nie nie ważyło, oprócz co jego powołanie mu nakazywało. W ogień, w wodę, gdzie wołała po-

winność, zawsze był gotów, i to tak chłodno a cicho, jakby najprostszą rzecz spełniał.

Wszyscy go szanowali, ale mało kto się nie obawiał. Czasem i biskupowi bywał niedogodny. ustępstw żadnych nie rozumiał. W sprawie bożej gotów był iść przebojem, nie zważając na nic.

Sama jego powierzchowność budziła trwogę. Żółty, wychudły, asceta na modlitwach i karceciu ciała, przedwcześnie zestarzały, wzrok miał ostry, przenikający, głos suchy i niemily, ruchy gwałtowne. Cnota w nim przechodziła w namiętność, nabożeństwo w passję. Na kazalnicy nie miał szalony zapal go' ożywiał.

Przez Grzymałankę, matkę swą, spokrewnionym był z Neorzą, którego wujem zwał, i widywał go dosyć często.

Dwór Neorzy drewniany i nieokazywał stał na Okolu. Siedział w nim odźwierny jeden, baba i dworzanin stary, gdy pana nie było. Kilka izb składały mieszkanie opuszczone, zaniedbane, które przecież jedną izbę większą miało, aby było gdzie ludzi przyjmować.

Chciwy i skąpy Neorza, nie często ich u siebie miewał, i nie bardzo się doń kwapili, bo nie po pańsku przyjmował, choćby go było na to stało. Jadł sam i pił dużo, często, żarłocznie, lecz bez wyboru... Najprostsze potrawy, kwaśne piwo, wszystko mu było dobre... Gdy nikogo w do

mu nie miał, co dla czeladzi gotowano jadł, nie przebierając, byle mu największą misę zastawiono.

W kilka dni po bytności króla u Wiaducha, gdy konie mu wypędzone z Wieliczki parobek przyprowadził, a dowiedział się, że król gniewny nie tylko je wygnać kazał, ale się na niego odgrążał, i na oczy go do siebie nie kazał puszczać, Neorża wpadł w złość okrutną...

Nie było jej na kim spędzić, a nawet i przed kim się z nią wylać, bo sam się został. Ludzie, dowiedziawszy się o głośnej nielasce królewskiej, stronili od niego, jak to zwykle bywa.

Nie znalazł się nikt przez cały dzień aż do wieczora, gdy podsędzia Sandomirski Jaśko, grochem zwany, przywłókł się już o mroku.

Jaśko Groch także do malkontentów należał. Jako prawnik, był to samouk, który mało co nauki przy szkole u P. Marji w Krakowie liznawszy, naprzód skryptorem był przy sądzie, potem wdrożywszy się w prawo, wyszedł, gdy innego nie było, na Podsędzię.

Im mniej umiał, tem się dumniej z tą odrobiną nosił i cenił do zbytku...

Chytry, chciwy jak Neorża, biedny przytem, słynał z tego Jaśko Groch, że najlepiej w sądzie z win, groszy i różnych opłat korzystać umiał. Ludzie się nań skarżyli, nie zważał na to.

On też na cały świat stękał, a szczególnie na

to, iż tak małym był dotąd, gdy się czuł najwyższych miejsc godnym.

Neorża zobaczywszy w progno długiego tego i jak kij wyprostowanego Grocha, natychmiast wybuchnął.

— Wiesz! wiesz! — począł wołać niewyraźnie i belkocząc, bo język miał tłusty. — Wiesz ty! czegośmy to doczekali? Króla chłopów! a tak! Dla nich on jak ojciec rodzony, dla nas, ziemian starych, kat, tyran...

— Patrzajże, dodał, mnie, ziemianinowi sta remu, Toporowi, mizernych parę koni nie wolno było żydowi łotrowi na wypas dać w Wieliczce! Kazał natychmiast szkapy... precz!.. Ile? co mówisz na to?

Czekał na odpowiedź, lecz Groch tylko gębą wywraçał.

-- Do mojego kmiecia, tego obwiesia Wia ducha, jeździ król w goście... a mnie na zamek nie puszczają? Rozumiesz ty to?

Groch się zebrał na krótką odpowiedź.

— Tak u nas wszystko...

— Co on to sobie myśli, ten król? — zawrzał Neorża — że z nami, rycerstwem i ziemian, jak z niewolnikami będzie postępował...

Przechadzając się po izbie, sapał mocno Neorża... Groch tymczasem rozglądał się po pustce. Nie był on tak chciwym jadła i napoju jak gospodarz domu, ale — rad jednak bywał przyje-

ciu, bo go od zapłaty za strawę i napitek uwalniało.

Neorzę też gniew wewnątrz palił... klasnął i odartemu parobczakowi piwa kazał utoczyć. Przyniesiono cynowy dzban i kubki gliniane. Siedli do cienkusza. Neorża sapał, Groch stękał.

Tamtemu ciągle jedno na nsta wracało — konie wypędzone z Wieliczki...

Podsędzia dzielił jego oburzenie.

Po drugim kubku cicho poczał:

— Pewnie, że się wam krzywda stała... Wasze konie króla by nie objadły, ale to jeszcze nie... Gorsze się zwiastują rzeczy. Kamień na kamieniu nie zostanie.

— He? — spytał Neorża zdumiony — gdzie?

— Jak te ziemie długie i szerokie, oni tu wszystko poprzerałają...

— Kto?

— A no, Suchywilk i król — odparł cicho Groch, który i skarżyć się chciał, i podsłuchanym się być obawiał.

Neorża zdumiał się mocno.

— Co? co? gadaj! wyjąknął pochylając się ku niemu.

— Nic nie wiecie?

Gospodarz ramionami ruszył i kubek wychylił.

— Suchywilk gdzieś za górami nauczył się takich rzeczy, które na naszej ziemi nigdy nie rosły. Chce nam tu sadzić winnice, kiedy u nas

proste drzewa marzną. Prawo! prawo, słyszę, dali wszędy spisywać... i co były różne obyczaje w ziemiach różnych od wiek wieków, chcą wszędzie jedne zaprowadzić, jak z igły nowe...

Neorży od słuchania oczy rosły, nie dobrze rozumiał.

— Co? co? — bąkał po cichu.

— Teraz my, sędziowie — ciągnął w piersi się palcem nderzając Groch — my, widzimy, słuchamy, ważymy i sędzimy według sumienia... otóż nie! to się im nie podoba... każą nam sądzić wedle jednego prawa pisanego!

Rozśmiał się szydersko.

— Ale to nie może być! — zawołał Neorża oburzony...

— A król tego chce, bo mu Suchywilk nagał, że tak jest gdzieindziej na świecie...

Śmiał się gorzko Podsędzia.

— Hej! hej! — dodał — pilnujcie się panowie ziemianie! pilnujcie. Co dziś na nas sędziów przyszło, jutro na was. Stary obyczaj wszystek rzuca pod nogi i podepczą, a po swojemu wystrójają to królestwo na węgierski czy na czeski sposób...

Neorża zamilkł z grozy i oburzenia.

— Mało, że nas, sędziów, zgniecicie i niewolnikami prawa zrobi — mówił Groch. — Słychać ze wszechstron... tylko wywracanie i przerabianie...

Jakie zdrowe były nasze dwory drewniane... hę! król wszystko murować każe... a w murze mieszkać, to śmierć! Chce nas wygubić.

Sól nam pan Bóg dał dla wszystkich. Dawniej człeczyna jej za co miał, za to sobie dostał w Wieliczce, teraz... ho! nastały rachunki, żydzi karbuja każdą miarkę i wpisują do rejestru...

— A moje szkapy precz z Wieliczki! — wyjęknał zbolący Neorża. — Ot co... ot co!!

Ziemiańnikom i rycerstwu — począł belkotać — król krzyw... oni mu nie w smak... dla chłopów i dla żydów serce ma tylko...

Lewko ten z Wieliczki, co moje konie bestja zdradził, i monetę trzyma, i sól trzyma, i co powie to święte... Mojego kmiecia, zbója chytrego, król po ramieniu klepie... a my... co my?! co my?

— Skończenie świata! — rzekł Groch — patrząc na dno kubka, w którym już nie było.

Wtem w progu zjawił się ks. Marcin Baryczka, który pono chwilę tu już stał, nim go postrzeżono...

Groch, który dla duchownych był z niezmiernem poszanowaniem i pokorą, poszedł go w rękę pocałować. Neorża wstał. Zrobiono miejsce. Siadł ks. Baryczka z twarzą chmurną i posępną.

— Słyszę, że się na króla JMei uskarżacie — rzekł, potrzęsając głową.

Neorża się rozkładając, ręce obrzękle zwrócił ku niemu, z boleściwym twarzy wyrazem.

— Słyszeliście co się stało z mojami kołniami w Wieliczce? he? O pomstę do Boga to woła.

Zdumiał się ks. Baryczka.

— Miałem parę szkap na wypasie u Lewka — dodał gospodarz — król precz je kazał wygnać.

— A jakież prawo miałeś je tam trzymać? — zapytał Baryczka.

— Prawo? — z oburzeniem krzyknął Neorża — takie prawo, że jak wiek wieków tam ludzie tacy jak ja... wypasali i po dwa, i po cztery... Żydaby licho przez to nie wzięło, ani króla też.

Ks. Baryczka głową pokręcił.

— Mało tego — podchwycił gospodarz — Posłuchajcie co Groch prawi. Włosy powstają na głowie.

Ksiądz się zwrócił ku podsędzemu.

— Strach! — rzekł Groch — prawo słyszę nowe piszą.

Uśmiechnął się Baryczka.

Groch począł narzekać długo i z coraz większym zapałem, lecz na duchownym wrażenia nie uczynił. Słuchał go obojętny.

— To jeszcze nie jest najgorszem z tego, co czyni król — odezwał się surowo...

Oba słuchacze zamilkli. Ksiądz smutne przybrał oblicze.

— Potomka mieć chciał, nie było w tem nie

złego, żenił się z tą Czeszką, która mu umarła...
Pałec był Boży! Zaraz po niej król Jan i syn
jego wystwatali mu Adelajdę Heską... Długoż
z nią żył? a co się teraz dzieje?

Groch głową trząsł.

— Ta niemkini, która mu i dwu tysięcy kop
posagu nie przyniosła, a w dodatku szpetna...

— Żenił się z nią przecie — przerwał ksiądz...

— Widziałem ją ją — mruknął Neorża —
a choć króla nie lubię, ale go nie winię. Brzydka
bo baba, a po naszymu słowa nie umie i mówią,
że na umyśle słaba.

— Przecie żona! — dodał Baryczka.

— Za tą się nie macie co tak ujmować —
rzekł Groch — krzywda się jej nie dzieje. Kró-
lowi wstręt czyniła, posadzili ją na zamku w Żar-
nowcu, i żyje sobie jak królowa, tyle tylko, że
męża nie widzi...

Ale... szpetna bardzo!..

Groch głową kręcił.

— Nie mógł z nią żyć — rzekł Baryczka —
choć po bożemu należało się to, bo człowiek
nie do rozkoszy się rodził... oddalił ją... niechby
i tak było... ale na cóż sobie innych szuka...
i zgorszenie ludziom daje?

Słowa te, które dobitnie i surowo wyrzekł
ks. Baryczka, nie znalazły jakoś oddźwięku i po-
twierdzenia w słuchaczach, tak samo, jak uty-
skiwania na nowe prawa u niego.

Neorża i Groch spuścili oczy. Nie byli i oni bez grzechu, a w owych czasach, gdy ludzkie namiętności wybuchały gwałtowniej, mało kto czystem życiem się mógł pochlubić.

Srogi więc sąd ks. Baryczki przyjęto milczeniem.

— Wina króla — mówił dalej duchowny, iż się daje do złego ciągnąć... ulega chuciom, ale nie mniejsza tych z kapłanów naszych, co z nim obcuja, z nim żyją, patrzą na to, a nie strofują go i nie karzą.

Wie pewnie o zbytkach tych Pasterz nasz Gnieźnieński, bo przy królu często bywa, wie ks. Suchywilk, co ze dworca pańskiego nie wychodzi, wiedzą kapelanowie... a milczą.

Milczeli słuchacze uparcie.

Groch znajdował, że spisywanie praw nowych było grzechem daleko większym, a Neorży się zdawało, że wypędzenie koni jego z Wieliczki, było straszniejszą jeszcze zbrodnią.

— Gdybym ja na dworze był — dodał Baryczka, gdybym ucho jego miał — nie zniósłbym tych miłośnic, o których wszyscy wiedzą, palcami je wytykają.

— W Krakowie bo ich nie ma — szepnął Groch, ręką na różne strony pokazując. Siedzą pono po królewskich dworach — w Opocznie, w Czehowie, w Krzeczowie...

— Pełno ich wszędy — burząc się ciągle, mówił Baryczka — znajdują się i w naszym mieście...

Mało tego! — krzyknął wreszcie — ludzie prawią o żydówkach!

Groch i Neorża dopiero tę okropność posłyszawszy, załamali ręce z przerażenia.

— Nie może to być — wtrącił Groch...

Neorża milczał... Rozmowa o królu przerwała się, bo pod oknami dworu przesunęła się jakaś postać, a nikt podsłuchanym być nie życzył.

Jeden męzny ks. Baryczka, to co mówił, gotów był powtórzyć zawsze i wszędzie.

Gospodarz podniósł się, oczekując na przybywającego, co się przed chwilą przemknął.

Drzwi otwarły się zwolna, i na progu ukazał się, znany dobrze Neorży, jeden z Jaksów miechowskich.

Była to, jak wiadomo, jedna z najzamożniejszych rodzin przed wiekiem, część jej dotąd majątności zachowała, druga, która wiele bardzo świadczyła zakonom, zubożała była, i właśnie jakoś pod te czasy ten sam Mikula, który stał w progu, z majątności niegdyś zapisanych opactwu Jędrzejowskiemu, z których sobie dziadowie jego serca bydłące wymówili na znak posiadania, odprzedał je opatowi za grzywien trzydzieści...

Neorża córkę miał jedną, mówiono, że Mikula starać się był rad o nią. Ale... Jaksa do dworu

króla należał, krzywo nań patrzano. Gdy wszedł, zamilkli.

Choć zubożenie znać było na młodym Gryfie, ale i ród szlachetny z twarzy poznał każdy. Postawę i rysy miał piękne, rycerskie, może dla mężczyzny zanadto słodczy i wdzięku.

Coś pańskiego wiało od niego, choć odziany był skromnie bardzo...

Neorża go zimno przywitał, odgadywał już, że Jaksa, na dworze króla przebywający, niesie mu pewnie jaką niełaski jego przestrogę. Wolał z nim o tem nie mówić...

Zagadano o rzeczach obojętnych, o nabożeństwach po kościołach, o miejskich posłuchach.

— Jam się przybył pożegnać z wami — ozwał się Jaksa, bo lękam się, ażali nie wyjeżdżacie.

Tak mi się zdało!

Gospodarz ostro nań spojrział.

— Pewnie, że ja tu robić co nie mam — rzekł, ale też i spieszyć ztąd nie chcę, aby się nie zdało komu, że uciekam od zagniewanego oblicza pańskiego!!

Jaksa spojrział nań nawzajem, i zamilkł.

— Cóż król? — chmurno zapytał Neorża...

— Na łowach.

— Gniewny? — burknął stary.

— Jam go w gniewie nie widział nigdy prawie — odparł Jaksa. Na chwilę się uniesie, ale prędko hamować umie...

— A na mnie sierzdi się przecie! — wykrzyknął Neorża.

Nie chciał Jaksa odpowiadać wprost, co myślał.

— Ja tam nie wiem — zamruczał, sądząc jednak, że gdy na czas jakiś z oczów mu zejdziesz, a wrócicie potem, nie będzie pamięci o tem, co zaszło.

— Ale ja mu tego nie zapomnę! — zamruczał Neorża.

Ks. Baryczka wstał, wuja żegnając, i wyszedł. Groch pozostał, Jaksa siedział.

Wspomnienie króla na nowo poruszyło Neorżę, chodził i pomrukiwał groźnie.

Chociaż o Jaksie wiedział, że przy królu stał, nie powstrzymał języka, sądząc, że gdy się o dziewczkę jego starał, potakiwać mu musi.

— Nie takiego nam tu króla było potrzeba — rzekł, to dla chłopów król, nie dla nas... On ziemian nie chce znać, ani miłować, my go też nie miłujemy.

Zarumienił się Jaksa i rzekł żywo:

— Darujcie — my co przy nim jesteśmy, kochamy go.

— A no! — na zdrowie! — szydersko rzekł Neorża. Twarz mu się krwią cała zalała.

Jaksa wstrzymać się nie mógł, powstał z ławy.

— Tak — dodał, my, co mu służemy, miło-

wać go musimy, bo dobry, i sprawiedliwy, i dobrze pragnący pan jest, a nieszczęśliwy.

— On! — mruknął Neorża — on! a co mu jest? Skarb, co za starego stał próżny, u niego pełen; dwadzieścia tysięcy grzywien wyliczyć Niemcowi, to u niego nic; klejnotów i sreber jak lodu... Cóż mu brak?

— Miły panie — począł Jaksa łagodnie. — Nie wiem, czy to szczęście daje... Potomka nie ma.

— Czemuż z żoną nie żyje?

Jaksa zmilczał.

Neorża małym przeciwieństwem zniecierpliwiony, już na przyszłego zięcia i patrzyć nie chciał.

Dumny Gryf, poznawszy się na tem, mało co się skłoniwszy, wyszedł. Wzrokiem za nim pociągnął Neorża i siadł za stół przy Grochu, którego pewnym był, iż z nim jedno myśli.

— Jak ci się zda? sędzio — odezwał się po cichu. — Mamy my jego cierpieć?

— Kogo? — zapytał trochę zdziwiony gość.

— A, króla! — mówił Neorża. — Dawniej przecież ziemianie sobie królów wybierali, a jak im byli krzywi, zrzucali ich. .

— Ależ to koronowany król! — szepnął Groch nieśmiało.

— E! e! — odparł gospodarz, ręką machając — co nam tam jego korona!! Tu w krakowskiem, ja wiem, że my mu nic nie zrobimy, ale trzeba z innego końca zaczynać. W Wielkiej

Polsce, w Poznaniu tacy się znajdują, co mogą się ruszyć, bo im to nie po myśli, że koronę im z Gniezna wywieźli, i ze stolicy ich zrobili małe miasteczko.

Tam każdemu wielkorządcy śni się, że jak Pomorzanie, oderwie się i z pod króla wyswobodzi. Tam jednihy może Brandenburgowi radzi, drudzy Szlązakom.

Tam. . .

Mówiąc, spojrział na podsędkę i przerwał nagle. Groch wprowadził na króla narzekal, ale tak zuchwałych myśli nie mógł pochwalić. Znacząco się zascpił, a Neorża postrzegł, że się niepotrzebnie przed nim wypaplał. Naprawiając ten błąd, począł się uśmiechać zakłopotany.

— At, plotę — rzekł — at, plotę! Nie mogę bo mu moich szkap przebaczyć. W Wieliczceby się były spasły.

Groch nie dał się zwieść tym zwrotem.

— Niepotrzebnie wy z tym żalem, i takimi tam rzeczami wygadujecie się — zamruczał. — Co tam te Wielkopolany myślą, Bóg ich wie, ale jak Wincz z Szamotuł nie dał rady Łokietkowi, i kajać się musiał, a potem go ziemianie rozsiekali, tak może być i z temi, co poprobuja się teraz przeciw panu ruszać!! jeśli się na to ważyć będą!

Neorża stał zadumany.

— Albo to on taki mocny, jak jego stary ojciec

był? — począł nspokojony. — Do wojny nie bardzo sposobny... budowałby tylko i przewracał wszystko. Baby nadto lubi, za stołem rad siaduje, na łowy jeździ, turnieje wyprawuje.

— Otóż wy go nie znacie — rzekł Groch, głową pokręcając. — Wszystko to prawda, a no, bieda, że wolę ma taką żelazną, jak i ojciec, a rozum chytrzejszy, przebiegłość większą.

Neorża patrzył bardzo zdumiony, słuchał, niepewien co począć z człowiekiem, na którego się usposobieniu nie poznał, ruszał ramionami.

— Jak nam z tem będzie, gdy on wszystko do góry nogami wywróci i zechce przerabiać — mówił Groch — to jeszcze niewiadomo, ale postawi na swem — westchnął sędzia.

— Nam z tem nie będzie dobrze — mówił dalej. — Co naówczas sędzia ma znaczyć!! Pewnie nam i naszego grosza obetnie... bo on więcej dba o kmiecie, o osadniki, o biedny, ciemny lud, niż o nas i o ziemian... Ale co postanowił, toć to... dokaże! Ja go znam! A co wy mówicie o Wielkopolanach... także na tem bardzo polegać nie można. Choćby rycerstwo nie bardzo było chętne, znajdzie zaciężnego żołnierza na Węgrzech, po Niemczech...

Westchnął Groch, zadumał się Neorża.

— Wkrótce i ruskiego ludu będzie miał siłą, gdy zechce — dokończył podsędzia.

Wszystko to, co mówił, podziało na gospodarza, który zamilkł smutnie.

Trwało milczenie dotychczas, a że piwa nie stało, Groch zamyślał odchodzić.

Rozstali się dosyć zimno.

Neorża popatrzał za odchodzącym.

— Baje — rzekł do siebie — ziemianie też coś znaczą! Zobaczymy, ja mu za wstyd mój i szkapy moje nie daruję.

Największe dzieło panowania swojego Kaźmirz chciał mieć dokonanem w Wiślicy, nie dla czego innego, tylko aby niem uczyć pamięć ojca, którego imię z gródkiem tym związane było. Wiślicę on po dwa kroć zdobywał, tu się ukrywał, tu się modlił, ztąd jeszcze ledwie się w siły wzbijając, na dalsze odzyskiwanie posiadłości wyciągał. Drogą była Łokietkowi ta miłość, bo mu gniazdem i przytułkiem była w ciężkich dniach życia.

Że myślą tą miłości synowskiej powodowanym był Kaźmirz, nie ulega wątpliwości. Jeden z pierwszych gród ten murami opasywać, i z muru wznosić go począł. Kościół z ciosu stanął na miejscu tego, w którym Władysław modlił się czasu neisku.

Stary był ten gródek nad Nidą, w widłach

rzeki jak wysepka na pagórku rzucony, łąkami otoczony szeroko, na wiosnę wodą oblany. W trzęsawiskach tych, wedle podań odwiecznych, było królestwo żab, węzów i żmij, tysiącami się tu lęgnących. Stare podanie opowiadało, że gdy tu w kościółku małym na przedmieściu, ksiądz mszę świętą odprawiał, a żabki mu skrzeczeniem okrutnem przeszkadzały, zaklął je w imie Pańskie, i od tej pory dopiero ciszej się sprawować poczęły.

Choć teraz, dzięki Kazimierzowi, Wiślica nowemi mury świeciła, których jej zacniejsze miasta mogły zazdrościć, stara to była i tak odwieczna osada, że ludzie początku jej nie pamiętali.

Za pogańskich jeszcze czasów na pagórku tym siedzieli ludzie, okopywali się rycerze i działy się tu krwawe historye, o których lud okoliczny dziwy opowiadał. Lecz w najżywszej pamięci było teraz wspomnienie o tym małym bohaterskim króliku Łokein, tułaczku biednym, który przez pół wieku cudów dokazywał, aż połamaną Chrobrę koronę spoił na nowo, i na skroń uznojoną włożył.

Zdawna już po wszystkich ziemiach chodziły wieści, które z przekazem i niechęcią sobie powtarzano, że król chciał ze starych praw uknuć jakieś jedno nowe prawo dla całej Polski, że Suchywilk nad tem pracował, i że do któregoś

z miast zwołać miano Małopolan, potem Wielkopolan, i potem prawo to królewskie, spisane, dać wszystkim, aby jego, nie innego słuchano.

Lat kilka się do tego przysposabiano. Ludzie, jak zwykle nowościom, tej sprawie nie byli chętni. Obawiali się innego prawa nad to luźne, słowne, zwyczajowe, które sobie każdy jak chciał wykladał i tłómaczył.

Sędziowie się szczególnie na to krzywiłi, jako i ten Groch, npatrując w pisanem prawie poniżenie dla siebie.

Nie było też w ówczesnej Polsce pojęcia tego, że zjednoczenie różnych ziem, wedle myśli króla, pod prawem jednym i monetą jedną, pożądanem i siłodajnem być mogło. Każda ziemia broniła zwyczaju swego, przy nim się opierała, i odrębność swą rada była zachować.

Ziemiańskie lękali się, aby to prawo nowe nie zmniejszyło ich władzy nad kmieciem, nie odjęło im tych praw, do jakich od wieków byli nawykli.

Pewna część ludności, na niemieckich prawach osiadła, może też niespokojnie na to prawo nowości zapowiadające spogląda, obawiając się, aby polski zakon ten ich odrębności nie naruszył.

Słowem, w przededniu zjazdu wiślickiego, które jeszcze inne miały poprzedzić, niepokój w umysłach panował wszędzie.

Nawet duchowieństwo niezupełnie było bezpiecznem. Ów Jan Suchywiłk ze Strzelcza, głó-

wny doradzca króla, prawa jego ręka, której on zawierzył spisanie zakonu, choć sam kapłan i siostrzeniec arcybiskupi, nie bardzo był dobrze przez duchownych widzianym. Zarzucano mu, że się więcej sprawami świeckimi niż kościołem zajmował, że mu na sercu więcej państwo leżało, niż sprawy sług bożych. Obawiano się, aby prawem nowem starych swobód, jakich duchowni używali, nie nadkasił.

Ruszano się na te zjazdy i na ów wielki wiec czy sejm do Wiślicy z większą ciekawością i niepokojem, niż pociechą. Niektórzy się odzywali z tem, że swoich prastarych swobód bronić będą, inni nie wiedzieli sami jak postąpią. Lecz kto tylko mógł, a chciał swą powagę utrzymać, do Wiślicy się wybierał.

Kmiecie też gwarzyli o prawie nowem, nie wiele się po niem spodziewając dla siebie, bo mieli przekonanie, iż ziemianie z rycerstwem nawet nad króla są silniejsi; choć wierzyli w to, że Kazimierz o nich tam nie zapomni.

Wiaduch po owej bytności królewskiej, której mu zazdroszczono, o którą go badano wielce, bo o niej wieść się rozniosła, nie rad opowiadać szeroko, przycupnął i powrócił do robót w polu, do gospodarstwa, unikając spotkania się z ludźmi, którzy nań patrzyli dziwnie.

Neorża, który go prześladował w początku, potem już tylko pokory żądał od niego, naosta-

tek nie nie zyskawszy, zostawił go w spokoju. Włodarze, mając widać inne przykazanie od niego, Wiaducha już nie zaczepiali, owszem byli nań łaskawi. Poszły w niepamięć uczynione szkody, o które kmieć się nie upominał.

Król jakoś w owych czasach do czynienia miał wiele, więc o Wiaduchu zapomniał.

Jeden rok zajęła wyprawa owa rnska, która się opłacała zdobyczami wielkimi, zajęciem Przemysła, Halicza, Łucka, Włodzimierza, Sanoka, Lubaczowa, Trębowli, a z niemi mnogich skarbów, wozami całemi do Krakowa ściąganych. Żenił się potem Kazimierz z niemką, którą załedwie przywiózłszy na zamek, dla szpetoty i obyczaju obcego musiał od siebie oddalić.

Nieprzelamany ten wstręt, który go dzielił od niej, może przez siostrę Elżbietę rozbudzony i utrzymywany, bo tej szło o polską koronę dla syna, pozbawiał Kazimierza znowu nadziei potomka płci męskiej.

Potem wydawał król córkę, załedwie dorosłą, za Bogusława Szczecińskiego w Poznaniu, wypozażywszy ją po monarszemu; dalej na Rusi Daszkowa i jego przyjaciół zdrada, napad tatarski powołał na granicę, i z Czechami po wielkiej owej drużbie przyszło się też ścierać; gdzie Bóg dał zwycięstwo.

Mało Kaźmirz w Krakowie siedział, na Wa-

welu krótko bawił, i kmieć już nawet stracił nadzieję, aby go widział kiedy.

Kilka tak lat upłynęło. Bogna za mąż wydaną została. Ciarach sobie przywiódł żonę, i już synkiem się cieszył. Wiaduch niewiele przez ten czas postarawszy, odpoczywać jeszcze nie chciał, ani zdać gospodarstwa. Lecz, rozumny człek, opodał pod lasem dla syna i synowej osobną chatę postawił, aby, jak się po prostu wyrażał, baby się nie jadły z sobą. Garuśnica, choć kochała synową, ale syna więcej jeszcze, i młodej miała coś zawsze do zarzucenia; lepiej więc było, że nie ciągle razem żyły.

Na Leksie teraz lat upływających mało znać było. Doszedł do tego kresu, którego pracowici i ciągle czynni ludzie nie przechodzą, choćby jak najdłużej żyli. Śmierć potem bierze ich niespodzianie, albo we śnie, lub jak obuchem uderzywszy w głowę.

Wiaduch chodził za pługiem jak dawniej, brał się do cepa, gdy było potrzeba, sił próbował i nie dawał im zastygnąć w sobie... Stał się tylko na starość trochę więcej milczącym, lecz gdy mu się usta rozwijały, plótł jak dawniej.

Wczesną bardzo wiosną, bo jeszcze w post jakoś 1347 roku, Wiaduch właśnie sposobił się do posiewów, jakby tylko z ziemi zlazła lodowa i śniegów skorupa. Był w szopie, gdzie z Wężem opatrywał pług, sochę i brony, motyki a inne

proste ówczesne gospodarskie narzędzia, gdy usłyszał z podwórza wołanie.

— Hej! gospodarzu...

A potem z proga głos Garuśnicy.

— Gdzież bo się podział mój? Tylko co tu byli. Leśsa! bywaj!

Na ten pozew wydobył się z pod szopy kmieć, i spojrzawszy ku wrotom, zolaćczył kogoś na koniu stojącego, twarzy dojrzeć nie mogąc.

Na dworze, choć niby ciade świeciło słońko, chłodno było, a ów jeździec na głowie miał kapтур, jakich wówczas wiele noszono po całej Europie i u nas... Strejnisie wieley do końca kapтура dla ozdoby przyśzywać kazali nie jeden chwost, ale cały sznur z węzłów grubych i kutasów złożony, a właśnie taki miał na głowie ów przyjezdny...

Dopiero gdy twarz ku kmieciowi zwrócił, Wia duch poznał w nim króla, choć zmienionego wielce. Nie stracił on był wprawdzie ani piękności rysów dawnej, ani świeżości ich, ale oblewał je smutek jakiś, zatekknienie za szczęściem, znużenie żywotem. Przybyło mu powagi, ubyło młodości i wesela.

Ten ci to sam pan był łaskawie i po ludzku rozmawiający z kmieciem, jakby z najwyższym urzędnikiem lub rycerzem, ale żał było, spojrzawszy nań, tak mu się zdało ciężać to, co miał na barkach.

Wiaduch do nóg mu przyszedł pokłonić się.

Król w małym poczcie jechał, sokoły za nim wieziono, szło psów kilka, otaczali go łowcy, u boku stał nieodstępny jego Kochan.

Zdawał się Kaźmirz niepewien, czy z konia zsiędzie, potem coś Kochanowi zepnął, u wrót konia rzucił, i po ramieniu klepiąc starego, zwolna z nim kroczył do chaty.

Garuśnica z wielką pokorą i radością, a z dumą, witała go znowu, serce jej rosło.

Chciała się zaraz, jako troskliwa gospodyni około jadalni zakrzatać, lecz Kaźmirz dał znak, iż nie będzie nie jadł. Był miód stary, zaczęła się z nim napraszać, król uśmiechając się, przystał, choć mechy nie lubił.

Wiaduch przed nim stał, a Kaźmirz mu się przypatrywał pilno.

— Aniś ty mi nawet przez te lata postarzał — odezwał się do niego.

— Bom już starym był naówczas — odpar Wiaduch wesoło. Prawią u nas ludzie o jednym człeku, co cielała gdy się narodził, wziął pierwszego dnia na ręce, potem drugiego dnia nosił go, i tak codziennie dźwigając, do tego doszedł, że potem woli mógł podnieść. Otóż, miłościwy panie — tak jest z pracą naszą. Kiedy się jej nie rzuca, siły nie ubywają, i człek nie słabnie. Niechbym dnia jednego spoczął, nazajutrzby się do mnie starość zakradła.

Rozśmiał się król smutnie.

— Rozumnieś to rzekł — szepnął doń.

— Jam tylko powtórzył, co się po świecie słyszało — odparł kміeć.

— Rad i ja z tej mądrości będę korzystał — dodał Kaźmirz.

Po chwili, obejrzawszy się do koła, począł król, ręką się opierając na stole.

— A wiesz ty stary, co cię czeka? Wiaduch głową pokręcał.

— Otom ja przybył od ciebie posługi żądać... Kmieć się pokłonił.

— Rozkazujcie — miłościwy panie.

— No, i nie małej — dodał król, ale mi ona potrzebna...

Pomileczawszy chwilę małą, Kaźmirz się odezwał.

— Słyszeliście może, iż do Wiślicy zwołałem ziemian na czwartą postu niedzielę. Będą im tam nowe prawo czytali, a prawo to nie dla jednych ziemian jest, ani dla duchownych, ale dla wszystkiego ludu i kmieci też...

Wiaduch się uśmiechnął niedowierzająco.

— Miłościwy panie — rzekł, ja na to codziennie patrzę, gdy obrok koniom zasypuję, a z jednego żłobu wszystkie mają jeść. Żeby człek nie pilnował, starsze i silniejsze wszystkoby zjadły. Tak to i z tym żłobem pono będzie, do którego się nam docisnąć nie dadzą.

— To wasza rzecz — rzekł król uśmiechając się, ja w żłób zasypuję... i póki żyw, też przy tym żłobie stać będę.

Zjadą się ziemianie do Wiślicy, duchowni, rycerstwo i proste panosze... trzeba, aby i kmieć też tam był..

Wiaduch spojrział zdziwiony na króla, nie odpowiadał nic.

— A dopuszczają tam inni? szepnął po namyśle...

— Powiecie tym, coby was chcieli gnać lub bronić przystępu, że moje przykazanie macie.

Chcę abyście tam byli.

Kmieć potrzeby jakoś nie widział i głową pokręcał.

— Jedź ty — rzekł król, weźmij z sobą za-możnych a poczesnych kilku, bądźcie przy mnie, aby nie rzeczo-no, że-m o was zapomniał lub po-gardził wami.

Przecież i tak mnie królem chłopów zwa — niech wiedzą, że ja nim chcę być, jak jestem królem ziemianina, i rycerstwa, i wszelkiego ludu, który w królestwie tem żywie...

Rozkazuję więc wam, abyście mi kilku waszych braci do Wiślicy przywiedli. A miałoby was nie stać na to, bo paszy dla koni jeszcze nie będzie, lub ją pod Wiślicą szlacheckie szkapy zjedzą i stratuja, oto macie na drogę.

Król mówiąc to, sięgnął do kalety, w której miał przygotowany worek i położył go na stole...

— Do Wiślicy pojedziewa — odezwał się z dumą kmiotek — chybabym żyw nie był, ale nie o waszych pieniądzech, miłościwy... Stanie na to ubogich. My tam żyjemy z prosta, prawda, takżeśmy się urodzili i do tego nawykli — złota na nas nie widać — miły panie — ale grosz jak w garnuszku pod sypanką w komorze się najdzie na czarną godzinę.

— Weźcie to przecie — mnie nie zubożycie — rozśmiał się król, weźcie dla innych, abyście ich mogli wybrać nie wedle przemożności, a wedle statku i rozumu... i — z Bogiem ostawajcie. Król wstał i kroczył już do drzwi, nalanego miodu ledwie dotknawszy ustami. Wiaduch wiódł go, schylając się, do drzwi. Odwrócił się ku niemu.

— Pomnijcież — dodał, przed czwartą postu niedzielą, trzeba tam być... jak się patrzy... bo o was pytać będę.

Gdy król wyszedł do swoich, ci się jeszcze wyniesioną im mechę pocieszali, i coprędzej wąsy ocierając, do koni przypadli.

Każmirz się już z dworem dobrze od wrót odsadził, a stary kmiotek stał jeszcze zadumany, i jak w ziemię wrosły...

Garuśnica aż musiała przyjść, i po ramieniu uderzywszy, rozbudzić.

— Co tobie stary?

Nie nie odpowiadając, Wiaduch wszedł do chaty, gdzie jeszcze worek królewski na stole leżał, siadł na ławie, spał się, i milczący zamyślił.

Baba przed nim z rękami założonemi, wlepiwszy oczy w niego, stała, głową potrząsając.

Leksa nie mógł myśli pozbierać, a na pytania jej długo nie odpowiadał. Nareszcie wstał, przeżegnał się, czapkę poprawił na głowie i westchnął.

— Dziejże się wola Boża i pańska. Jak do Wiślicy to i do Wiślicy...

— Coż to ci, krzywda, nie cześć? — zapytała Garuśnica.

— Milczałabyś stara, bo nie nie znasz — zawołał Wiaduch. Za taką cześć, człek potem skórą płaci. Z dostatkiem jam się nigdy nie chwalił, aby go ludzie nie zazdrościli, a tu, wstydu sobie i stanowi swemu uczynić się nie godzi!!

Powzdychał trochę Wiaduch, przeszedł się po izbie, z kubka po królu miodu dopił, pasa mocniej ściągnął, na chodaki popatrzył, ku słońcu wyrżał, i rzekł do żony.

— Na wieczerzę albo powrócę, albo nie — patrzajcie matko, aby łyżka ciepłej strawy była. Trzeba mi w drogę.

Najlepszą szkapę wybrawszy ze stajni, stary, który się konia jeszcze nie bał, dosiadł jej rażno i pokłusował.

W sąsiedztwie kilku bogatych kmieciów siedziało...

Nie wszyscy oni byli do Wiaducha podobni. Najdostojniejsi z nich do ziemiaństwa się cisnęli i przypytywali a do szczytów się za grosz lub za posługi przyjmować dawali. Tym o stanie kmiecy mówić nie było można, bo choć do niego należeli, już się fałszywemi sześciu świadkami wywiedli na panosze.

Drudzy, radzi byli cicho siedzieć a nie narażać nikomu, gdy tu niewątpliwie przytomnością swą, rycerstwu solą w oku być mieli. Innych jeszcze, dla prostoty ich nie mógł wezwać do towarzystwa Leksa; wybór więc był trudny i gło-wa go bolała. Małą do zbytku garstką ograniczyć się wstyd mu było.

Wzdychał więc jadąc, iż mu król za ciężkie brzemie na ramiona włożył, lecz zrzucić go już nie mógł.

Czekała Garuśnica, drzemiąc na ławie, do późna napróżno, nazajutrz ani na obiad, ani na połudzień, ani na wieczerzę stary nie wrócił. Nietyle o niego niespokojną była, co gniewna...

Chodziła się poskarżyć do syna, wróciła nazad i nie zastała swojego, dopiero dnia trzeciego około południa głos jego usłyszała, że Węza wołał, aby konia postawił.

Spojrzała mu zaraz w oczy, aby poznać z czem wracał, miał twarz jasną i uśmiech na ustach. Zażądał jeść, co też było dobrym znakiem.

Nie zwykł się był spowiadać przed żoną z te-

go, co czynił, nie pytała go, wiedząc, że się potem łącniej wygada, gdy ona ciekawości nie okaże...

Zaczęły się od następnego dnia do podróży wybory...

Pierwszy raz Leksa oba gospodarstwa synowi zdał, sam mając za wiele do czynienia. Co było najlepszego z odzieży, podobywano, a i do Krakowa musiał Leksa, aby lepiej wystąpić. Nie lubił on tego, lecz teraz mówił, że stanowi swemu hańby uczynić nie może...

Musiano też wóz kowany sporządzać, konie do niego dobierać, bo choć kmiecie jechali konno wszyscy, zapasy na drogę prowadzić było potrzeba. Gdzie ludzi wiele, tam czasem i za pieniądze chleba nie dostanie, a w Wiślicy się zjazdu licznego spodziewać było można.

Czas zbiegał szybko bardzo, aż i kmiecie się dowiadywać zaczęli niektórzy, i dzień wyjazdu naznaczono. Co dnia prawie przybywał który po radę jakąś, bo już Lekse jakby za głowę swoją poczytywali.

Nie całym taborem ruszyli z Prądnika, bo inni po drodze się przyłączać mieli. Milcząco Wiaduch żonę pożegnał, zasepiony, synowi przykazując, aby mu gospodarstwa pilnował, chcieli być cały.

Gromadka kmieci, choć nie zbrojna, bez szczytów, bez szyszaków, wszakże i pokaźną dosyć była, i nie bezbronną całkiem. Na dłuższą podróż

miał każdy obuszek, wielu siekierki i toporki, któremi się od złych ludzi obronić było można w potrzebie.

Dobierał towarzyszków sobie przemyślny kmieć, i wedle rozumu, i wedle dostatku, ale też i takich, co by mu lada jaką postawą wstydu nie robili. Chłop w chłopu byli urodziwi, przystośni, silni, i barczyści. Część miała powagę starości i siwizną srebrną, brody do pasa; inni kwitli młodą rumianą. Wszyscy oni czuli to, że nie dla siebie jechali, ale stan kmięcy cały w nich miał oko w oko obok innych się postawić.

Po gościńcach, któremi nad Nidę dążyli, nie było pusto.

Ciągnęli ziemianie zewsząd dworno, szły czeladzie biskupów. poczty wojewodów, jechało znaczniejsze rycerstwo. W owych wiekach, prawie każdego stan z odzieży, z uzbrojenia można było rozpoznać. Synody przepisywały ściśle jak się duchowieństwo w domu, w kościele i podróży miało odziewać. Mieszczanom nie wolno było ani w jedwabie, ni w klejnoty się stroić, choćby mieli za co, rycerstwo i panoszków uzbrojenie odznaczało, comesowie i barony mieli dwory z sobą, słowem kto spojrzał na przejeżdżających gromadnie kmięciów, łatwo poznawał ich, co za jedni byli i że do ziemian nie należeli.

Spotykający ich, nie kryjąc się z tem, głośno się zdumiewali co kmięciów prowadziło do

Wiślicy. Niedowierzano nawet, aby się oni ośmielili tam przybyć. Czasy te, w których się szczyty i osobny stan rycerski nie wyrobił jeszcze odrębnie, gdy pospołu wszyscy do wieców należeli i wszelka starszysza się na nie zjeżdżała, od dawna zapomniane były. W miarę jak panosze i rycerstwo rosło, upadali na znaczeniu kmiecie, i już im innych praw nad dźwiganie pospolitych ciężarów nie przyznawano.

Pielgrzymka więc ta kmieciów w dosyć znacznej gromadzie — jadących ziemian wprawiała w podziwienie.

Zaczepiano ich, badano, lecz Wiaduch ostróżny, zawczasu swoim zapowiadał, aby w rozhowory żadne się nie wdawali i milcząc pomijali tych co ich zaczepiać mogą. Pilnowano się też porządku tego.

Leksa nawet, aby zaczepianym nie być i uniknąć badania, omijał gościńce pospolite, a prowadził bocznemi drożynami.

Dojechali tak wreszcie na równinę błotnistą nad Nidą i mury zamkowe, nowy kościół, który Kaźmirz wystawił, okolne ściany grodu, jego baszty i bramy, ukazały się z daleka na pagórku, w widłach rzeki.

Lecz w miarę, jak się zbliżali ku zamkowi i miastu, a tu już na drogach był tłok wielki... mogli zmiarkować łatwo, iż nie tylko w Wiślicy samej, ale na przedmieściu Goryslawickiem, ani

na Kucharach, miejsca dla siebie znaleźć nie będą mogli.

Roilo się ludem wszystko. Nad zamkiem powiewała królewska chorągiew. Wozy z żywnością biskupów i panów, ciągnęły otoczone czeladzią; spychano się, wymijano, powstawały klótnie i ludzie rwali do orężów. Musieli więc kmiecie ostrożnie obmyśleć sobie gdzieś stanowisko na uboczu i na niem się osobno obozem położyć, zdala, bo w pobliżu, co było miejsca suchego, już wszędzie namioty rozbite, wozy wkoło stojące, konie i ogniska zajmowały.

Wiosna była bardzo wczesna, zaledwie się poczynająca, na łąkach trawa mało co się wytykała, o zielonej paszy i pomyśleć nie mogli. Lecz o nią też nie bardzo się troszczyli, bo im szło o samych siebie. W środek między ziemian się wcisnąć i niebezpiecznie było i niewygodnie. Stąpali więc na gościńcu przed bramą krakowską, trochę na uboczu, a Wiaduch pojechał na los szczęścia szukać kąta i dostać języka...

Nie przyszło to łatwo i błakać się było potrzeba... Na drodze którą jechali od Czerwonego Chodcza, od Latanicz i Kobylnik, wszędzie ludu było mnogo i gdzie się kmieć pokazał, oczyma chodzono za nim, co tu robi?

Na ostatek, w końcu Goryslawickiego przedmieścia najrzał Leksa chatę ni zbyt okazałą, ni nadto biedną, i na wszelki wypadek postanowił

zajść do niej. Wyglądała na kmiącą. A było takich pół mieszczan, pół kmiaci-rolników około miasteczek dosyć... Swojego brata wszędzie czuje człowiek. Wiaduch zsiadł z konia. Chciał wniść do chaty, lecz spostrzegł że i tu czeladź jakaś rycerska izbę już zajmowała. Trafił jak najgorzej, bo właśnie ludzie Neorży się tu rozgospodarowywali. Jeden z nich zaraz często widywanego poznał.

— Wiaduch, hę? a coś to ty także do Wiślicy zjechał z ziemiany, w gości do króla? począł szydersko człek wojewody, bo Neorża już Sandomirskim został, choć go król nie lubił.

Stary nie miał ochoty odpowiadać, ale go coś załaskotało od tego szyderstwa.

— Jak widzicie — rzekł, i my w gości!

W dłuższą się nie chcąc wdawać rozmowę, wysunął się. Wyszedł za nim gospodarz chaty, kmić, człek stateczny, chcąc rozpytać, czego by żądał.

I z tym odrazu się wdać i odkryć mu się całkiem Wiaduch wahał. Dopiero wyrozumiawszy go obojętniejszymi słowy powiedział kto był.

— Co mam się z tem kryć? rzekł. Król nam kazał tu być, abyśmy i my posłuchali co się głosić będzie. Jest nas gromadka, nie mawa się gdzie przytulić. Radźcie.

Nie było łatwo dać radę. Błotnista okolica, a jeszcze teraz w części wiosennym wylewem

Nidy uszczuplona, ledwie starczyła na tych, co się tu zebrali. Król na zamku gościł z Arcybiskupem Jarosławem Bogorją, z Jangrotom krakowskim mieszcząc się w izbach niewielu i szczupłych. Wojciech Paluka, poznański biskup, i Maciej Włocławski, przy kościele i plebanii stanęli. Z wojewodów i kasztelanów, ledwie dwóch poufalszych przy królu na zamku jako tako się cisnęli, inni w miasteczku, po dwóch u mieszczan, a nawet bramy miejskie: krakowska, buska, zamkowa ludem były przepełnione; koczowano w rynku i po ulicach.

Nie mieli więc kmiecie kąta dla siebie, i szukać go musieli aż u Brzezin. Tu na nocleg się do chłopów wprosił, postanowiwszy nazajutrz po cichu na zamek iść, bo słyszeli, że tego dnia już, a była właśnie czwarta postu niedziela, po nabożeństwie wielkiem w kościele, które sam Arcybiskup odprawiać miał, na dziedzińcu zamkowym, gdzie dla króla tron i przy nim też dla Arcybiskupa był przysposobiony, miano prawo głosić nowe.

Tymczasem nasłuchać się mogli, co o niem zawczasu mówiono po kupkach. Nie licząc tego co prosty lud bredził, ziemianie, a nawet duchowni nie kryli się, iż tej nowinie królewskiej wcale nie byli radzi.

— Wie on co robi! wołali jedni — pewnie sobie nie uszczupli władzy, rychlej drugim odej-

mie, a sobie przysporzy. Rycerstwa swobody powoli zczeszna, będzie tak jak na Rusi, gdzie ziemianie głosu nie mają, jeno kniaziowie. Spodobało mu się to, gdy Ruś zawojował.

Duchowni, którzy już więcej coś o nowem prawie wiedzieli, znajdowali je barbarzyńskim i nie użytecznem, gdy można było inne cudzoziemskie, albo rzymskie do kraju wprowadzić.

W ich mowie jawiła się niechęć i nieufność, jaką mieli ku Suchywilkowi. Lecz Arcybiskup stał przy królu, a On ci tu był pasterzem najwyższym.

Nie bez tego, by i na niego nie sarkano po cichu. Ks. Suchywilk siostrzanem mu był, znano go jako królowi powolnego, wiedziano, iż raz w potrzebie ze skarbcza gnieźnieńskiego kilka tysięcy grzywien królowi w krzyżach, misach i innych klejnotach dał, za co później z wielickich żup roczny dochód naznaczono, że dobra duchowne z Kazimierzem, dla dogodności jego, na inne mieniał.

Małopolanie, Wielkopolanie, Kujawiacy, a było i Mazurów ciekawych trocha, obawiali się, aby swoich ziemskich posiadłości nie potracili.

Naostatek znana króla skłonność dla chłopów, któremi się rad opiekował, budziła obawę, aby prawo ich nie wyniosło, a ziemian nie osłabiło.

Burzyły się więc umysły, lecz władza króla, choć nie określona prawem żadnem, choć nie

mająca oznaczonych granic, była przecież uznawana i wrażała poszanowanie. Mógł król, jako najwyższy sędzia, każdemu zuchwałemu głowę kazać zdjąć i karać go na gardle. Przeciw niemu wystąpić nie ważył się nikt i nie mógł. Szemrano tylko.

Otoczenie zaś królewskie, nauczone jak mówić miało, powtarzało, co od Suchywilka słyszało wielokroć, iż nowe prawo sprawiedliwość zapewni i wszelkie gwałty i nadużycia pobamuje, że wstyd było dłużej, gdy wszystkie państwa statuta owe miały, aby ich Polsce brakło.

Nazajutrz, jak zapowiedzianem było, zadzwoniono na nabożeństwo, a że znaczniejsza część w kościele się pomieścić nie mogła, stanęło wielu w podwórzu otaczając do koła.

Wszyscy się potem z Arcybiskupem i królem na czele ruszyli ku zamkowi.

Dzień nie bardzo sprzyjał uroczystości, wiatr smagał chłodny, niebo było zakryte. Lecz ani Kaźmirz, który szedł z twarzą zwycięzcy, ni inni nie zważali na to.

Cisnęła się starszyzna strojna do koła pana, którego dwór występował też w dniu tym z przepychem prawdziwie królewskim, w całym blasku zbroi i sukni szytych, a futrami kosztownymi okładanych.

Sam Kaźmierz odziany był czarno, z łańcuchem na szyi i pasem rycerskim wspaniałym, a płaszcz

na ramionach miał szkarłatny, sobolami podbity. Część dworu występowała w purpurowych sukniach, z orły polskimi na piersiach, druga w zbrojach i szyszakach wyzłacanych, na których znamię widać było, Topory Chusty, Sokoły, Księżyce ..

Chociaż tłum się uciszył, gdy król przemówić miał, nikogo nie doszły słowa jego, gwar dolał z dala, wiatr szumiał.

Widziano tylko, gdy Suchywilk karty pergaminowe z pieczęcią na sznurze podnosił, gdy Arcybiskup błogosławił, gdy król przemawiał znowu, a oblicze mu pokraśniało, oczy się tak śmiały, jakby najwyższą osiągnął szczęśliwość.

Twarz pańska opowiadała ludowi, iż się dokonało wielkie i wiekopomne dzieło.

Gdy się to wszystko spełniało, Wiaduch ze swemi, ledwie się dostawszy na zamek cudem jakimś, innego sobie miejsca i swoim nie znalazł, jak przy murze, wysoko, na blankach. A choć i tam ciasnota była wielka i niewygoda, miał tę pociechę, iż król, do koła rzucając oczyma jasnymi, postrzegł go i uśmiechnął mu się.

Poszły zaraz innych oczy za temi, i dostrzeżono kmieciów, o których zresztą Neorża już wiedział, rozpowiadał, a gniewał się, że tu przybyć śmieli...

Tak się wszystko odbyło dnia tego łatwo, dla tego, że kilka poprzednich, poświęcił król nara-

dom z Comesami i rycerstwem, i rzecz była już postanowiona.

Zastawiono potem stoły i ludzie po troszę rozplywać się zaczęli, a Wiaduch nie bardzo wiedział co poczynąć z sobą, gdy ze dworn królewskiego jeden, który z Kaźmirzem bywał na Prądniku i znał starego, zbliżył się doń.

— Mam przykazanie od pana, abym was ugościł. Jest dla was stół osobny na podsieniu, chodźcie.

Kmiecie się wahali, obawiali się obudzić zażdrość, lecz posłuchać musieli. Prowadził ich tedy ów Gosław Krojc, dworzanin do zamku na ubocze. Lecz zdala już postrzegli, gdy im na miejsce dla nich wyznaczone wskazywał, że je jacyś ziemianie samowolnie zajęli.

Chcieli kmiecie odejść, niepozwolił Gosław. Obok stołu zajętego bezprawnie, kazał na dwóch beczkach stare drzwi położyć, misy i dzbany podawać.

Dopieroż owi panoshowie obok, gdy zobaczyli przy sobie kmieciów, krzyczeć i wywoływać zaczęli na niepomierne zuchwalstwo...

Nie zważano na to, ale, gdy przy tym stole poczęta sprawa kmiecia, poszła zaraz po innych...

Ziemianie cierpieć ich przy sobie nie chcieli. Zaniosło się na burzę groźną...

Wiaduch skinął na swoich że nie pora ją wy-

woływać było, więc zakosztowawszy ledwie chleba królewskiego i usta w kubkach umoczywszy, wyszli powoli boczną furta, którą im Gosław ukazał.

Odejście ich nie zażegnało wielkiego poruszenia w rycerstwie. Widziało kmieci wprzody wielu, była już mowa o tem, że przybyli, pewnie ze skargami do króla, i oburzenie coraz się zwiększało.

Odgrażali się ziemianie, iż tym których dosięgną i o których się dowiedzą, nie darują.

Chodziła wprawdzie wieść, iż się stawili na żądanie samego króla, lecz wierzyć w to nie chciano...

Wrócili z Wiaduchem wszyscy niezaczepiani do Brzezia...

Tu narada była, co poczynać. Obowiązek stawienia się spełniony został, nie mieli już co robić, znaczniejsza część do domów się wyrывała. Inni chcieli jeszcze kupą do pana iść, dziękować mu. Zdania były podzielone, Wiaduch radził spocząć jeszcze i czekać.

— A no! czekać — odparł stary — którego zwano Stroka, 'doczekamy jeszcze tego, że nas rycerstwo pokrwawi... Nie ma tu już co poczynać, a i kupy się trzymać nie koniecznie, niechaj każdy swoim rozumem i drogą do domu powraca.

Nad ranem przybył komornik od króla, gdy ledwie wstawali, i kazał im na zamek. Dnia tego cokolwiek się było przerzedziło i po drodze, choć

spotykali jadących, którzy się z nich wyśmiewali i zaczepiali, przystęp do grodu był wolny...

Kazano im stać w przedsieni. Król z kilku panami wyszedł do nich z uśmiechem na ustach. Głową skinął Wiaduchowi.

— Chciałem — rzekł na głos — abyście i wy tu byli, gdzie w imię Boże, nowy zakon, albo raczej stare zakony ojców spisane... ogłoszone zostały... Wszystkim one, i wam też służą ku obronie i bezpieczeństwu...

Idźcież w pokoju do domów, do pracy i powiedzcie ludowi wszystkiemu, iż go odtąd nie sędzia będzie karał i sądził... ale jeden zakon dla wszystkich.

Pokłonili się kmiecie, a król, spoglądając na nich, bardzo dobrotliwie uśmiechnął, mówiąc do tych, co go otaczali:

— Ci są, którzy karmią nas, należy im opieka i bezpieczeństwo. Idźcie w pokoju.

Przytomny kapelan królewski pobłogosławił ich po łacinie i odeszli nareszcie wielce uradowani, że się to przecie skończyło.

Nie było już sposobu dłużej ich tu zatrzymać. Kto żyw, konia wyprowadzał, wóz zaprzęgał, aby prędzej z Wiśley... Nie mówili tego, ale pogródki i szyderstwa ziemian trwożyły ich niepomału.

Wiaduch, choć był rad mieć kogo za towarzysza podróży, nim się miał czas z kim umówić,

sam jeden pozostał. Nie zafrasowało go to wielce, bo miał parobka Węza z wozem i dobrego konia pod siebie. Strachu nie czuł. Wypoczął więc dobrze, i z południa dopiero w drogę wyruszył.

Na gościńcach teraz nie tak było ludno, bo wielu jeszcze pozostało w Wiślicy. Jechał więc Leksa zamyślony, w duchu sobie wszystko to przypominając co go spotkało, co widział i słyszał.

Pomimo obietnic i nadziei wielkich na to prawo nowe, on, stary i doświadczony, zachował swe przekonanie, iż z prawem tak będzie jak i bez prawa, że się nie zmieni nic. Nie wątpił, iż król dobry chciał jak najlepiej, lecz w moc królewską nie wierzył.

— Ziemianie uczynią co zechcą, i — będzie po staremu! — mówił w duchu.

Dnia tego nie wiele ujechawszy, a gospodę i szopę znalazłszy zawczasu Wiaduch zanocował.

Tymczasem na Prądniku stara Garuśnica i syn około gospodarstwa chodząc dnie i godziny liczyli wyglądając Wiaducha.

Baba obrachowywała raz i drugi; wiedziała że w niedz ełę w Wiślicy musiał być, że tam nad dzień, dwa nie zabawi, i że do domu potem, dla zbliżających się świąt pośpieszy.

Tymczasem Wiaducha nie było. Wszystkie rachuby zawiodły... Z sąsiedztwa powrócił jeden z kmieci oznajmując, że Leksa lada chwilę

powinien już być. Popowracali inni, o Wiaduchu słychu nie było...

Jednej nocy, nie mogąca zasnąć Garnśnica posłyszała skrzypiący wóz, jakby się u wrót zatrzymał... Wyszła narzuciwszy okrycie...

W mroku widać było w istocie konie i wóz pod bramą. Na zawołanie jej, głosem słabym odpowiedział ktoś, jakby Wąż... Podbiegła do wrót. On to był ale milczący, przerażony i sam jeden... Koń Wiaducha do wozu był uwiązany.

Z parobka nie się dowiedzieć nie było można w początku, tak płakał. Wskazał wreszcie na wysłany i pokryty wóz, na którym trup Wiaducha z głową porąbaną leżał.

W drodze na gościncu spotkał się z kmieciem Neorzą, który podchmielony był, więc zły i bez pamięci. Ząb miał już do kmiecia, złość do króla. Łżyć go począł, ludziom kazał zatrzymać i zarać.

Mścił się za swe szkapy, z Wieliczki wygnane.

— Za głowę zapłacę! — krzyczał, miecz chowając skrwawiony — kością mi w gardle stał chłopisko.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 178



JIK0178